

W numerze: Przygoda „ANILANA” • Jaś • Zapiski z podróży do NRF • XXXV Międzynarodowy Kongres Chemii Przemysłowej • Szampański wieczór • Szczęśliwy człowiek • Recenzje • Felietony • Polonica

odątkosy



Nr 41 (345)
11. X. 1964 R.
10 stron
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK

ROK VII



KAROL BADZIAK

Żyje, więc muszę mieszkać

Stała przed nami wyczekująca, pełna głębokiego milczenia i ciekawości, co też z tej naszej obecności wyniknie. Oparła się o drzwi swego domku-komóreczki, ukrytego dyskretnie wśród innych komórek i czekała. Ale zrobiła to instynktownie, nie z obawy, a raczej z przywiązania do swego gniazdzka, które jest wielkim ludzkiem przywiązaniem do domu, symbolu ciepła, spokoju i stabilizacji. Miała jasne włosy i spojrzenie, łagodną twarz i jakiś prastawiański wdzięk.

Nie, ona się niczego nie bała, takich kobiet nie krzywdzą nawet urzędnicy; więcej zresztą było w niej rezygnacji niż agresji. Mieszkało ich osmioro w jednym małym pokoiku z kuchnią, lecz to jeszcze nie było dostatecznym powodem do tego, aby się wynieść z mieszkania, w którym się urodziła i wychowała, w którym się spała, jadła, obchodziło chrzciny, wesela i pogrzeby. Dopiero kiedy jej ojciec się rozpił na dobre i męża do picia zaczął zmuszać, no może nie tyle do picia ile do stawiania, wtedy postanowili oboje zbudować sobie w ogródku za komórkami tę klitkę.

Podczas mrozów, ale to bardzo silnych mrozów, nocują na górze u rodziców. Kosztuje to tę ćwiartkę wódki. Taniej jednak niż w hotelu. Taka jedna stara kobieta zmarła zimą w swoim domku-komórce. Ale w tym wypadku mróz działał na korzyść ojca pijaka, którego zawsze suszy w gardle. Nie wyjawiała tego tak od razu, tego oczywiście o ojcu pijaku. Przecież to tajemnica. Każda rodzina ma swoją tajemnicę, której pilnie strzeże przed obcymi, bo sąsiedzi i tak wiedzą.

Stała więc tak naprzeciwko nas oparta o te drzwi, za którymi wielki pies niespokojnie i raczej nieprzyjaźnie, grubym głosem warczał i spoglądała po kolei wszystkim w oczy. Ale tak jakoś stała, że można było pomyśleć, że broni dostępu do swego mieszkania, choć właściwie przecież nas nawet zapraszała do środka. Nie, nie była wyzywająca i nie była uniżona wtedy kiedy zapraszała nas do środka, abyśmy zobaczyli jak mieszka, była zwyyczajna, a może leciutko tylko speszona, ale takim speszzeniem, które wcale nie ujmuje człowiekowi godności. I kiedy tak stał się, i architekt dzielnicy, który nas tu przywiódł, aby pokazać przykład samowoli budowlanej, i pewna pani z Prezydium, która znalazła się tutaj w zastępstwie kogoś innego i niedwuznacznie nie dawała to swoim zachowaniem do zrozumienia, szczególnie mnie, i fotoreporter wrocławski, który miał uzupełnić to co małe wy-

Samych piątek w indeksach

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

OSTATNIA BITWA WRZEŚNIA

piechota, nocami, lasami, Bóg wie jak — parę tysięcy ludzi, setki koni, wozów, wszystko zmęczone do ostatnich granic, obojętne, zmiażdżone ciągłym odwrotem i klęską nieustającą i pożarami wszystkich wsi, o jakieśmy zawadzili.

Nikt z moich kolegów nie miał mapy. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy. Raz przechodziliśmy Bug — to była Włodawa. Potem Parczew. Parczew? Gdzież to jest ten Parczew? Potem któregoś wieczoru dobrnęliśmy do skraju lasu, skąd poprzez pola i łąki, trochę w dół, widać było miasteczko.

Ognia naturalnie palić nie wolno, żeby się nie zdradzić. Nie rozchodzić się nigdzie! Spocznij... Ciemna była noc, pełna gwaru przytłumionego, bo kolumna wyciągnięta w marszu na parę kilometrów zamieniała się tu w obozujący batalion — a może i pułk, wciąż nadchodziły nowe kompanie, których nigdy nie widzieliśmy, tyśiące nowych głosów. Strzelec rezerwowy Rogoźnik w mijanym ostatnio folwarku zdobył manierkę spirytusu i dwa wielkie karpie. Niestety, ryb nie było na czym upiec, spirytus piliśmy kolejno po jednym łyku — ledwie mi przez gardło

przeszedł, mocny był i benzyną pachniał. Na widnokręgu coraz wyskakiwała rakietą — to tu, to tam — ktoś dawał komuś sygnały, których nie umieliśmy rozszyfrować. W gęstym mroku porucznik zwołał kompanię daleką od stanu liczebnego, przewidzianego regulaminem. Z rozbitej zielonej skrzyni dawał każdemu dwa granaty i podwójną porcję amunicji do kb. Inne kompanie robiły to samo. Przypomniał mi się podobny moment pod Sławogórą, niesłychanie odległy i zatarty, zadaniem sobie pytanie czy i teraz nie zdążę zrobić użytku z amunicji, jak wtedy?

Leżeliśmy okręcenii w płaszczu, spirytus neutralizował chłód jesiennej nocy i upraszczał wiele spraw. Borowski znowu coś opowiadał o swojej starej, wszystkich sen odleciał, coś wisiało w powietrzu. „...a tu zajmujemy podstawę do natarcia” kończył dowódca ledwie widoczny w ciemności. Błyskawicznie przebiegło mi przez myśl, że dawno temu ktoś mówił podobnie i że wtedy to zrobiło duże wrażenie, teraz postanowiłem tylko jeszcze raz poprawić onuce, przymocować maskę do pasa i dopiąć wszelkie guziki i sprzączki. Wiedzieliśmy już, że miasteczko w dół to Kock, wyobrażałem sobie mapę Polski, ale nie mogłem przypomnieć, w którym miejscu leży akurat Kock? Zresztą nieważne. Czekaliśmy na dalsze rozkazy, kto miał jeszcze machorkę to palił ją ukradkiem, w rękawie, czasem tylko na se-

Dalszy ciąg na str. 3

Dalszy ciąg na str. 4

Berlin już od trzech tygodni wieścił światu koniec wyprawy na Polskę, flagi trzepotały w Dorfach i Burgach, szykowały się uroczystości i powitania dla wracających zwycięzców. A myśmy szli i szli, ta szara

OSTATNIA BITWA WRZEŚNIA

Dalszy ciąg ze str. 1

kundę mignęła jakaś mniej ostrożna iskierka.

Ledwie zaszarzało, świt się ledwie — ledwie poczynął, a już z tamtej strony Kocka zaczęło grzmieć. Prawie ciągle, jednostajny turkot — a zaraz potem w różnych miejscach wybuchy. Najpierw na polu między nami a miastem. Potem dalej na prawo, potem znowu gdzieś za nami, wreszcie z rzadką, pojedyncze, coraz bliżej: „wymacali nas, cholery!” „Józek trzymaj się blisko. Szkoda, żebyśmy się zgubili!”

Borowski splunął w dłoń i zaczął sobie kopać dołek, „ażeby choć odłamków bronił”. Trachnął tuż blisko granat i posypał się na nas gałazki, duża sosna pochylała się, wyrwana z korzeniami, oparła o swoje sąsiadki i zawiśla w jakiejś dziwnej pozycji. Robiło się coraz widniej, wybuchy gęstniały i mieliśmy już kilku lekko rannych. Niebo błękitniało na dobre, nie zmacane ani jedną chmurką, nad miasteczkiem wykwił czarno-krwawy grzyb pierwszego pożaru. Przez huk wybuchów przewiercił się ostry świst do wódce. Ruszaaa-myl!

Zadanie nazywało się: zdobycie Kocka. Gdy dopadliśmy pierwszych uliczek, Kock cały był jednym płonącym stosem. Nie było tam nieprzyjaciela — siedział z drugiej strony na wzgórzach. Miasteczko było „krajem niczym”, weszliśmy w nie jak w tuman ognia i dymu, gorąco tamowało oddech, twarz paliła, po plecach płynęły strugi potu. W niektóre boczne, wąskie uliczki już wejść nie było można. Natarcie posuwało się więc wzdłuż szerokiej głównej ulicy, od rogu do rogu, skokami. Małe zapalające pociski moździerz-ry bębniły po dachach stojących jeszcze, parterowych domków. Kwicziały przeraźliwie pieczone żywcem świnię, inne oszałałe galopowały bezładnie środkiem ulic. Ulice przelotowo dobrze pokrywał ogień niemieckich erkaemów. Na uczynienie pięciometrowego skoku czekaliśmy nieraz całe kwadransy. Było takie miejsce, gdzie przebiec trzeba było pojedynczo, błyskawicznie. Pierwszy rzucił się pchor. Szczepański i z drugiej strony krzyczał „czesz, koniec, już jestem ranny, a niech cie jurna”. Przywarliśmy do ściany. „Gdzie są ludzie?” — tukoło mi się po głowie, serce waliło gdzieś w krtań, Józek gorączkowo odpiął pas, ładownicę, maskę — zajął płaszcz, rzucił do sieni i obwiesił się ryszunkiem na nowo. Ponieważ na razie nie można było przejść, a zresztą czekaliśmy, aż nadejdzie więcej naszych, chcieliśmy nasz erkaem ustawić w chałupie, w rogu i przez wyrabną dziurę w ścianie ostrzeliwać niemieckie gniazdo, które nam tak psuło szyki. Chłopaki już rąbali ścianę, aż wióry przyskały. Ktoś odkrył na oknie gąsiora z sokiem, gasiliśmy nim pragnienie. Erkaem był już na stanowisku, ale też i dach już płonął. Coś na niego musiało spaść. Puścił Borowski serię dla honoru, nie wiem nawet czy celował, wycofaliśmy się na ulicę, pluton już cały leżał za kamieniami, za rogami sterzących rzadko murów. Już było po południu! Do wieczora posunęliśmy się jeszcze kilkadziesiąt czy kilkaset metrów i nagle okazało się, że jesteśmy samotnym plutonem, bo inne widocznie zmieniły tymczasem kierunek natarcia.

Większość naszych sił nacierała w prawo od nas, ale właściwa nasza kompania powinna być jeszcze bardziej w lewo, bo pamiętałem z rozkazu, że stanowią skrajną kompanię lewoskrzydłową. „Trzeba by sprawdzić!” — powiedział porucznik i przeszedł spojrzeniem po zapadłych

i zszarzałych zmęczeniem twarzach. Podchorąży Mazur rozpiął kombinezon, podrapał się — „to ja pójdę. Będziecie tu czekać?”

— „Kto jeszcze?”
— „Nie, ja sam, was tu mało i tak”.
Wziął od porucznika pistolet. „Więc, ja tutaj wracam”.

Patrzyliśmy jak przebiegał ulicę. Sypnęła się za nim seria, ale spóźniona, Mazur już był za rogiem. Przelazł przez płot i znikł w czarnej smudze cienia.

Położyłem się na eleganckiej kanapie smakując samo to słowo: kanapa. Józek leżał na dywanie, porucznik z dziwnym wyrazem twarzy wpatrywał się w lustro. Elażerka pełna była książek, na froncie w granatowej oprawie stały „Dzieje kultury polskiej” Brücknera, inteligent jakiś widać tu mieszkał. Gdzie się podział? Po godzinie przegonił nas znowu ogień i dym. Trzy razy zmienialiśmy stanowiska nim nasz łącznik wrócił, choć to długo wcale nie trwało. Karabiny nie odzywały się już wcale, moździerz tylko tłukł nadal uparcie, z premedytacją, dopełniając dzieła zniszczenia...

Mazur dawał znaki, żeby iść za nim. Teraz to było o wiele łatwiej niż za dnia, prowadził nas opłotkami, ścieżkami, na przelaz, do zabudowań dworskich, niekiedy zupełnie. Cała nasza wiara już tu była, nawet kuchnia podciągnęła po ciemku ze wspartą grochówką, a trzech czy czterech ranni mieli już założone bandaże i leżeli cicho na sianie.

— „Czujki są wysunięte, można spać, ale w pełnym oporządzeniu” — mówił dowódca. Skorzystaliśmy skwapliwie, przepot przelatujących nad głową pocisków nikomu już nie przekszkadzał.

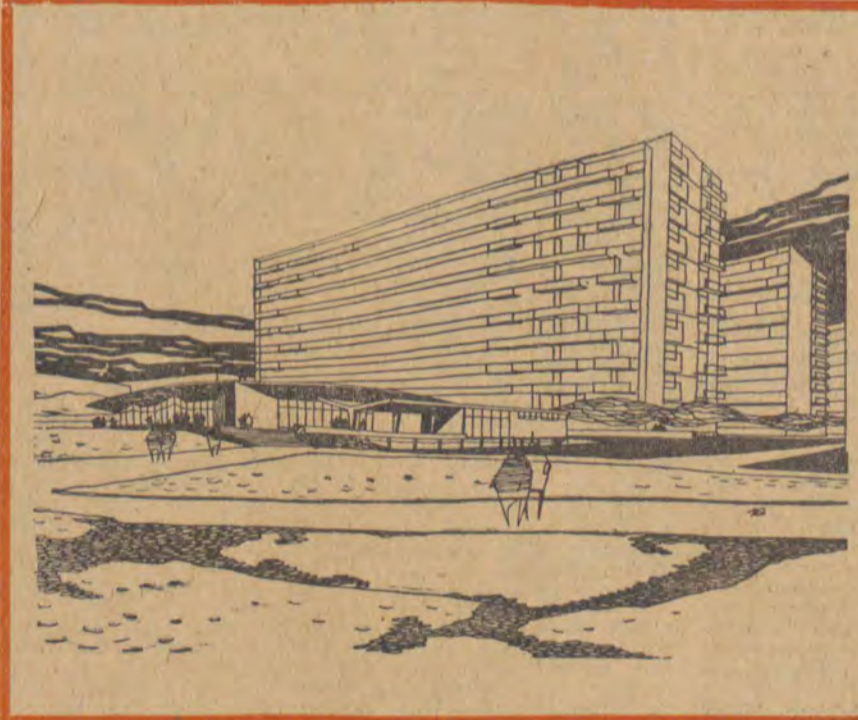
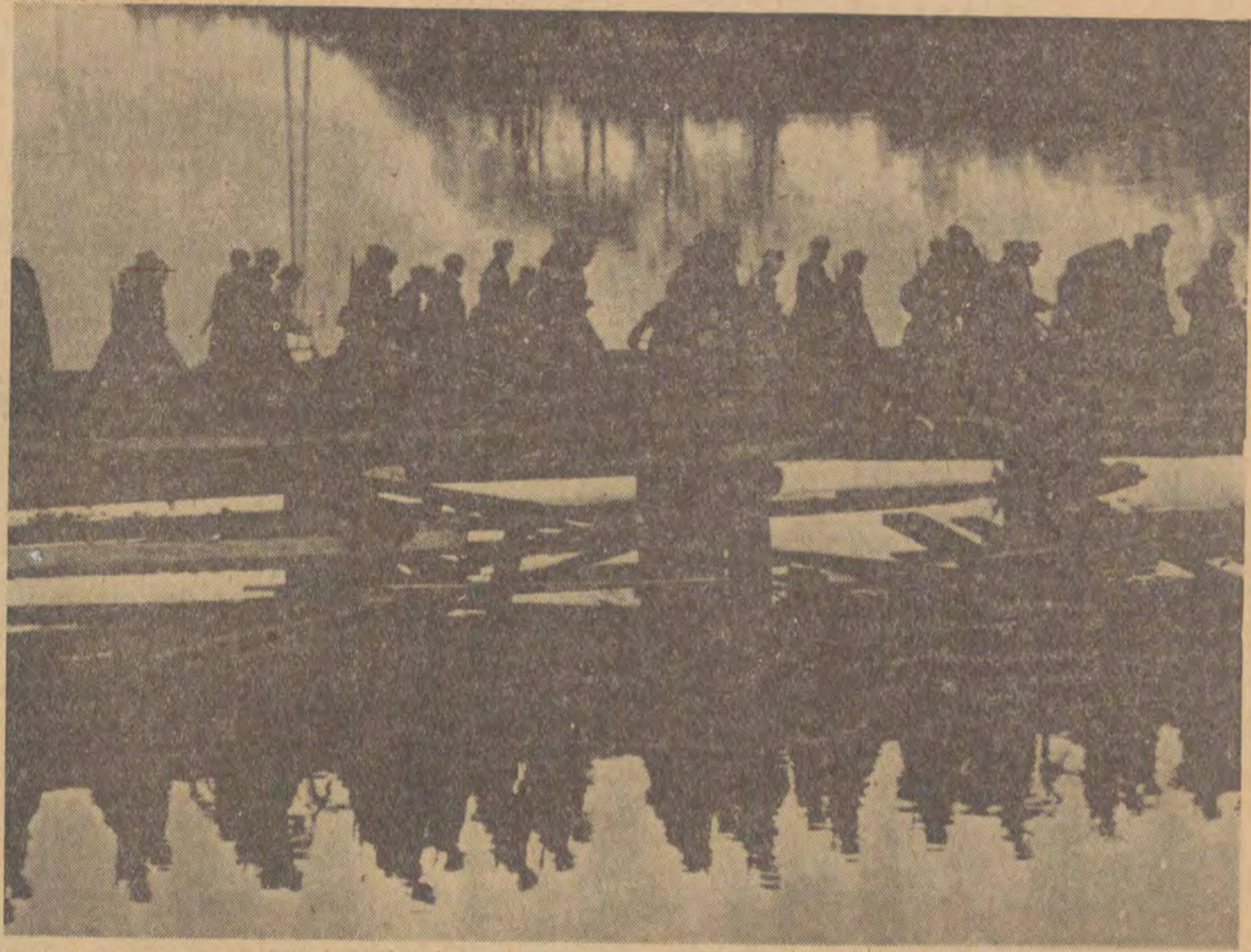
A o świcie zaczęliśmy na nowo. Artyleria grzmiała już na całą parę, po pewnym czasie odezwały się także działa z naszej strony, rzadziej i słabiej niż tamte, ale ile nam fantazji dodały! Znowu biegliśmy z karabinem w dłoń, z granatami dyndającymi na piersiach. Najbliższym celem była wioska — zdaje się — Poizdów, leżąca już na linii pagórków, na których okopali się Niemcy. Byliśmy w tej chwili najbardziej wysuniętym skrzydłem natarcia, od wioski odgradzał nas skosny ogień erkaemów, rozgadanych na dobre. Nasze cekaemy wolebrały nas według swych najlepszych moż-

liwości usadowione na skraju Kocka. Stary kapral Borowski biegł znowu koło mnie i jużśmy dobiegali głębszej jakiejś bruzdy, gdzie by oddechu złapać było można, gdy stęknął głęboko, usiadł i powoli padł na wznak. Gdy się przed następnym skokiem obejrzał, Rogoźnik leżał obok niego i z ładownicę mu amunicję wybierał. Potem Zbyszek upadł na twarz i jeszcze zdążył Józkiowi adres rodziców powiedzieć. Potem... Wpadliśmy do wioski. Kilku zatrzymało się przy rannym Niemcu, który przerażony śmiertelnie zapewniał, że Niemców było w Poizdowie nicht wiel, i że już są weg. Nie szukaliśmy ich zresztą, natarcie szło dalej, w prawo od nas huk wzmagal się i gęstniały grzechotki karabinów. Zza chałupy wybiegła elegancko, po miejsku ubrana dziewczyna i dała mi jabłko. Jakaś uciekinierka, ewakuantka, igła w stogu płonącego siana. Płakała, ale jabłko rzuciłem, bo ledwie i tak można było dech chwycić biegnąc ciągle. Za nią już było puste, czyste przedpole, przekreślone tylko przerywaną linią krzaków rosnących wzdłuż płytkiej, wyschniętej prawie strugi. Struga szła skośnie ku Niemcom, po liściach olszyn syczały serie ich maszynek. Józek dostał, tarzał się z wściekłością, że nie może iść, ani w przedni ani w tył. Jak oberwanie chmury runęła nawala artyleryjska. Zostaliśmy gdzie kto był, twarzą w ziemi, rozplaszczeni jak to tylko było możliwe — żeby zniknąć całkiem, żeby się w ziemię, jak pędrak wgrzyźć, żeby zostać jednowymiarowym, malutkim. Pomogłem Józkiowi podciągnąć się pod większy krzak olszyni. Miał przetrzeźloną nogę i strzaskany dziwnie karabin, zapomniał jednak z emocji o bólu, błagał żeby go nie zostawiać, że jak odepocznie i jak mu trochę pomożemy, to pójdzie z nami dalej. To były ciężkie godziny. Kawały ziemi przyskały w górę i spadały nam na plecy. Po paru godzinach działa przycichły, a Niemcy ruszyli. Nareszcie zobaczyliśmy ludzi i zaskoczony byłem, że są tak bardzo blisko. Odezwały się nasze cekaemy, podciągnięte za nami — jak się okazało — aż tutaj. Zagrał jeden kilkanaście metrów od nas, spod kępy jakiegoś zięlska. Zostawiłem Józka. Nie chciałem iść do niewoli, poderwał się skurczem jakimś, dopadłem porucznika przy maszynie. Podawałem mu amu-

nicję, a on aż usta z pasji otworzył, przymierzał rozważnie, czekał, aż się niebieskie sylwetki znów pokażą — nie mówiliśmy do siebie nic. Kilku naszych, którzy przedtem wysunęli się jeszcze dalej wzdłuż strumyka, czołgało się z powrotem, kiedy krzaki ich jako tako zastaniały biegli chykiem do tyłu. Potem znowu coś blisko nas huknęło, słup ziemi, ciekawem zapiszczał, targnął się raz i drugi — stanął. Ani rusz. Porucznik otrząsnął się z ziemi jak pies po kąpielu. O naprawie karabinu nie było mowy, Niemcy byli już w przodzie na linii strumyka i jeśli zwolnili tempo to dlatego, że likwidowali tam naszych, którzy nie zdążyli się wycofać. Droga odwrotu jedna; lożyiskiem strumienia, na brzuchu, z powrotem do wioski. Wysilkim takim, że już nie widzieć nie było można, a w tyle głowy fala gorąca szumiła jakby tuż przed cmentem. Przez wioskę ze spuszoną głową. Jeszcze jeden odwrót. Cały miesiąc odwrotu, cofania się, bezsilnego ustępowania.

I znowu był wieczór, gdy przemożnięci od człogańia, zgonieni, niechętni dobraliśmy do folwarku w Kocku. Natknąłem się tu na dowódcę batalionu. Był sam, za skronie się trzymał i oczy mu zawiły. Policzył naszą kompanię: kilkunastu ludzi. Kazał zająć placówkę i zwinąć ją, jak się wszystko wojsko wycofa. Więc siedzieliśmy do późna w noc, milceli wszyscy, sierżant tylko kłął: „Wytłukli naszych tyłu, to jeszcze i nas! Żeby już nikt nie został. Cholera! Na co tu czekać?” — ale siedział i wytrzeszczał oczy w mrok. Granaty przelatowały nad głową furcząc po swojemu, młóciły nadal w nieszczęśliwe miasteczko; odgłosy walk bezpośrednich ucichły, jak zwykle nocą. Nie mijali nas już wycofujący się żołnierze, wreszcie nie pamiętam już na czyj rozkaz opuściliśmy placówkę, przechodząc przez zgłiszca na tamtą, naszą jeszcze stronę, skąd sześćdziesiąt godzin temu poderwała nas świstawka dowódcy. Jedyną naszą stroną, ostatnich kilka kilometrów kwadratowych wolnej Polski.

Żołnierzy było tu jeszcze wielu, ściągali z różnych stron, z Białobrzegów, Woli Gulowskiej, gdzie mieli już zdobyte pozycje niemieckie i działa, i gdzie niektóre kompanie trwały jeszcze na linii bojowej, były się następnego dnia, i dopiero pod wieczór zaczęły je spychać z powrotem ogień artylerii. Stały i nasze działa — zamilkły, bo zapalniki zabrakło. Mieszali się marynarze z lotnikami, rusznikarze, ewakuowani z warszawskich fabryk i żony oficerów na białoruskich biedkach, w futrach i boso, ściechle takie, zgaszone, nieporadne. Przybywało rannych — tych, co o własnych siłach szli jeszcze, bo inni zostawali na przedpolu dopóki się nimi sanitariusze niemieccy nie zajęli. Dokąd mogliśmy ich zabrać? Klęskę widać było na każdej twarzy, rozpacz zamykała usta fermentując w mienawie głucha i zawzięta, która po paru miesiącach miała się zamienić w pierwszymi aktami dywersji. Kotłowaliśmy się jeszcze cały dzień, z jedną dręczącą myślą: co robić? Ktoś się zastrzelił, inny (major) był już w cywilnym ubraniu. Spotkany kolega zaczął rozmowę zdumionym pytaniem: „wiesz, że dziś jest piąty październik?” Nie wiedziałem, ale nie wydało mi się to ważne. „Co robić?” — pytałśmy starych żołnierzy i spotykanych oficerów, naszych dowódców. Wruszali ramionami. Doszliśmy nocą do wioski, gdzie kwaterował sztab. Nie wiem jak się nazywała. Generał Kleberg, jedyny w tej chwili zwierzchnik Wolnej Polski, siedział w chacie złamany zupełnie (patrzyliśmy przez szybę), żółty, wary. Przed paroma minutami depešował Niemcom gotowość kapitulowania. Żołnierze palili i zakopywali broń, rozdawano resztki zapasów z taboru. Już mogliśmy palić ogniska w lesie — płonęły aż do świtu, szóstego października 1939 roku.



ŁÓDZKIE XX-LECIE

PAWILON HANDLOWY „KAPELUSZ PANA ANATOLA”

MYŚL: Od dawna słyszysz się głosy o niedostatecznej sieci punktów handlowo-usługowych w nowych osiedlach. Pawilon handlowy inż. arch. A. Zwierko jest pozytywnym sygnałem, że zła tradycja zostaje przelamywana.

DANE: Kubatura pawilonu — 10 tys. m sześciennych. Budowę rozpoczęto w 1959 roku — ukończono w 1962. Stojące obok pawilonu 4 bloki mieszkalne budowano w latach 1959—1964. **KOSZT:** Ok. 500 000 zł.

PROJEKTANCI: Inż. arch. A. Zwierko — projekt, inż. L. Brocki — konstrukcja.

WYKONAWCA: LZB nr 1. Kierownik budowy — inż. Jabłoński, inspektor nadzoru — inż. Kowalski.

RYŚ. INŻ. ARCH. SŁAWOMIR ARABSKI

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI



Fot. M. Gdzalski

Zyje, więc muszę mieszkać

Dalszy ciąg ze str. 1

daje się zbędne, a redakcją ważne, chyba nawet kierowca wysiadł choć go to wcale nie interesowało

ponieważ widział w swym bogatym życiu nie tylko kobiety w ciąży, ale nawet pijaną kobietę w ciąży — to wszyscy poczuliśmy się jakoś nieswojo. I nawet architekt dzielnicowy, człowiek energiczny i rzeczowy powstrzymał się od robienia uwag, że dzikie budownictwo jest bardzo brzydkim zajęciem, albowiem koliduje z interesem społecznym. Takie słowa byłoby jak zgrzyt paznokcia po szybie. Należało po prostu odejść i o nic więcej nie pytać. A jednak długo nie mogłem opędzić się myślom, że miała ona w sobie coś z Rejtana. Chyba poze. Wszyscy ci dzicy lokatorzy mają w sobie te poze. Ogólnej racji społecznej, która jest właściwie nie do podważenia, przeciwstawiają jedno: nie mają gdzie mieszkać. I od tego punktu zaczyna się dramat. Powód jest jeden, argumentów sto.

Posłuchajmy, bo to może wzbogacić naszą wiedzę o nas samych. „Otrzymałem straszny rozkaz. Własny dom spalić w czasie pokoju. Ostatni kawałek chleba od ust sobie odejmowałem, aby za ciężko zapracowane „koperniki“ kupić plac pod budowę. I teraz kontrabucie na mnie nałożono. Ja jestem weteran drugiej wojny światowej. Broniliśmy Białegostoku, gdzie zostałem ciężko ranny i wzięty do niewoli. Władysław Gomułka powiedział, że Polska jest bochenkiem chleba i kroić należy go równo, a tu jedni mają gospodarki paluszki liźać, a mnie napalmem chce wykurzyć. O nie, lepszy dla mnie wyrok śmierci. Najprzejmiej proszę w razie niezgody wysłać do podania do I sekretarza drogą służbową, gdyż ja czuję się pokrzywdzony.“

„Zostałem powiadomiony o ukaraniu mnie grzywną w kwocie 1500 zł w celu przymusowego wykonania przeze mnie rozbiórki domu, w którym zamieszkuje razem z żoną i synem. Nadmieniam, że kary tej nie zapłacił i domu nie rozbiorę, gdyż w akcie notarialnym figuruje domek murowany, gospodarczy i nie ja go budowałem, a tylko przeprowadzałem w nim remont ze względu na zły stan jego budowy. Kary wykonać nie mogę, ponieważ zarabiam 1300 zł i mam na utrzymaniu rodzinę, majątku żadnego nie posiadam i mieszkańca zastępczego nie mam. A w Polsce Ludowej ludzie na polu nie mieszkają. Jeżeli prosba moja uwzględniona nie będzie, to pojedę do Warszawy do premiera rządu. Nadmieniam, że byłem pierwszym w powiecie brzezińskim przy zakładaniu ORMO.“

„Oświadczam, że nie wiedziałem iż takiego budynku stawić nie wolno. Tym bardziej, że sąsiedzi moi również mają chatki i szopy, zaś sąsiad Andrzejewski to nawet budynek murowany sobie postawił. Komunikując o powyższym ufam, że w tym wypadku obywateli przewidujący zechnę uchylić nakaz o wykonaniu rozbiórki mego domu.“

„Prawda jest, że popełniła błąd, nie mając pozwolenia na budowę-pobudowałam. A ile ludzi postawiło w ten sposób? Proszę o litość nade mną jako człowiekiem.“

„Jesteśmy w rozpaczy, gdyż wydaliśmy wszystkie pieniądze, a teraz okazuje się, że dom musimy rozebrać. Dom kupiliśmy od Zofii P. której uwierzyliśmy jako zakonnicy.“

Tacy więc oto są ci, którzy wbrew przepisom i nakazom, wbrew zdrowemu zadowoleń się rozsądkowi, zaśmiecają podmiejski pejzaż swymi małymi chatkami, komórkami i psimi budami. Budują je szybko w ciągu jednej nocy, albo powoli, nieopatrzenie calymi latami. Na nic nie zważają, o niczym nie chcą wiedzieć lub rzeczywiście nie

INŻ. LUCJAN ZAGALSKI

Kierownik Oddziału Nadzoru Budowlanego Wydziału Budownictwa, Urbanistyki i Architektury Prezydium RN m. Łodzi

Samowola budowlana powoduje zabudowę terenów, które — zgodnie z planami zagospodarowania przestrzennego miasta — są przeznaczone na inne cele, niż budownictwo indywidualne. Ponadto, wskutek samowoli budowlanej powstają budynki, które często zagrażają bezpieczeństwu publicznemu, porażkowemu, oddziałują szkodliwie na zdrowie mieszkańców, szpecą otoczenie, pogarszają stan sanitarny miast i osiedli itp. Dodajmy też, że samowolnie wznoszone budynki mają wady z punktu widzenia techniki budowlanej i zasad ekonomiki oraz są stawiane niezgodnie z normatywnymi technicznymi, co powoduje duże marnotrawstwo materiałów.

Biorąc to pod uwagę Prezes Rady Ministrów wydał okólnik nr 132 z dnia 21. VII. 1959 roku o zwalnianiu samowoli budowlanej. Kładzie się w nim szczególny nacisk na wykrywanie samowoli budowlanej, zaniem nastąpi zaś w sprawie obiektu, na przedwzięcie jej drogi natychmiastowego wstrzymania nielegalnie prowadzonych robót budowlanych oraz orzekanie odpowiednio surowych kar wobec osób winnych naruszenia prawa budowlanego.

Pojęcie samowoli budowlanej wiąże się również ściśle z przepisami ustawy z dnia 31 stycznia 1961 roku o prawie budowlanym oraz o planowaniu przestrzennym, ogłoszonej w Dzienniku Ustaw nr 7, poz. 46 i 47 jak również z przepisami aktów wykonawczych do tej ustawy.

Sporadyczne wypadki samowoli budowlanej nie stanowiłyby jakiegokolwiek poważniejszego problemu, jednakże obserwowany przejaw powszechnie szerzącej się samowoli urasta już do zjawiska społecznie groźnego. Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi doceniając szczególną szkodliwość samowolnej działalności budowlanej, poczyniło szereg kroków, zmierzających do przeciwdziałania złu.

Na zakończenie warto jeszcze wspomnieć, iż kary za samowolę budowlaną z art. 78 ustawy budowlanej są b. wysokie, i tak:

- Kto przystępuje do budowy obiektu budowlanego wbrew wymaganym przepisom pozwolenia na budowę bądź zgłoszenia, albo niezgodnie z warunkami takiego pozwolenia lub zgłoszenia — podlega karze aresztu do 1 roku lub karze grzywny do 50.000 zł, albo obu tym karom łącznie.
- Niezależnie od tego właściwy organ państwowego nadzoru budowlanego, stwierdzając, że zachodzi jeden z wyżej wymienionych przypadków obowiązany jest wydać sprawcy samowoli budowlanej nakaz przymusowej rozbiórki i określić termin jej wykonania.

Na terenie Łodzi, w okresie 1963 roku i I półrocza 1964 roku, zebrano przymusowo ok. 20 obiektów samowolnie wzniesionych.

OD COCTAIL PARTY DO BANKIETU

We wtorek 15. IX, br. o godzinie 20 Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Przemysłu Chemicznego wielkim coctail-party dla 550 zagranicznych gości zainaugurowało obrady XXXV Międzynarodowego Kongresu Chemii Przemysłowej. W sobotę, 19 września, o tej samej godzinie odbył się w Hotelu Europejskim oficjalny bankiet zakończonej obrady.

Uczestniczyło w obradach ok. 2000 inżynierów i techników, którzy wysłuchali 6 referatów plenarnych oraz 900 komunikatów z bieżących prac naukowych. Polacy zgłosili ok. 580 prac, reszta gości z 23 krajów. Największą ilość komunikatów zgłoszono z dziedziny inżynierii chemicznej (75 odczytów), nawozów sztucznych (74), tworzyw sztucznych (72); najmniej z dziedziny korozji (11), kosmetyki (16) i elektrochemii (16).

Na Kongresie najliczniej odczytywała była reprezentowana Polska (ok. 1500 osób), następnie NRD (147 osób), Francja (132), Węgry (126), Austria, Grecja, Izrael, Monaco, Tur-

cja i Związek Radziecki oficjalnie były reprezentowane przez jedną osobę każde.

Kongresy Chemii Przemysłowej są organizowane co roku przez Międzynarodowe Towarzystwo Chemii Przemysłowej a raczej przez tego Stałą Komisję Kongresów. Zarówno Zarząd Towarzystwa jak i Komisja składają się w 90 proc. z Francuzów, co ponieważ tłumaczy ich tak nieproporcjonalnie duży w stosunku do innych narodowości zachodnioeuropejskich udział w Kongresie (druga naliczana grupa zachodnioamerykańska — liczyła 8 uczestników).

Jak poviada regulamin, celem Kongresów jest: „umożliwienie wspólnej dyskusji na wszystkie tematy naukowe, techniczne i ekonomiczne dotyczące zastosowania chemii“. Jakkolwiek regulamin przewidyuje pięć równoprawnych języków obrad: angielski, francuski, niemiecki, polski i rosyjski to jednakże polski Komitet Organizacyjny XXXV Kongresu w informacji wstępnej zastrzegł: „Aby zapewnić

sobie odpowiednią frekwencję uczestników zagranicznych autorzy polscy powinni wygłaszać referaty w jednym z obcych języków Kongresu“. Tak więc język polski został wyrucono poza teren obrad warszawskiego Kongresu Chemii. W tej sytuacji najpopularniejszym językiem obrad był niemiecki, w którym referowano 38,2 proc. prac, następnie angielski (23,1 proc. referatów), francuski (22,5 proc.) i wreszcie rosyjski — 16,2 proc., co przy braku uczestników z ZSRR jest raczej dużym procentem. Można by stąd wywnioskować, iż polscy chemicy naliechętniej rozmawiają o sprawach fachowych po niemiecku i angielsku. Odrzucając na bok ironię, warto podkreślić, iż nie tak dawno francuski znacznie był popularniejszy w naszym kraju niż angielski. Owo przesunięcie popularności daje się zauważyć dopiero od czasów wojny.

Jak się okazuje, żądanie referowania prac w języku obcym było posunięciem dyplomatycznym dużej miary, znacznie usprawniającym szybki i sprawny przebieg obrad. Z powodu przyjęcia 900 komunikatów do wygłoszenia (czy odrzucono choć jeden zgłoszony?) komitet organizacyjny zarządził, że czas trwania komunikatu autora polskiego nie może trwać dłużej niż 8 minut, a zagranicznego 10 minut. Co było powodem takiej decyzji. Może opinia, że biedni cudzoziemcy po trudnym dziecństwie pełni kompleksów, winni mieć jakiegoś handicap, może obawa, iż im trudniej będzie wyrazić myśli w ich ojczystym

języku niż znanym ze zdolności lingwistycznych Polakom, a może po prostu głęboko zakorzeniona pokora dla zagranicy przemycana pod maską „staropolskiej gościnności i szarmancji“? Nie chodzi o te dwie minuty różnicy, lecz o gest, o jaki piękny!

Zanim postąpimy krokiem dalej, należy od razu stwierdzić, iż piękny gest Komitetu nie zyskał należytego uznania gości. Na Kongres przybyło ich znacznie mniej niż się zgłosiło, a nawet ci, którzy dotarli do coctail-party często nie potrafili odzyskać drogi do Pałacu Kultury i Nauki, w którym odbywały się obrady. Niemal z reguły komunikaty zagraniczne, francuskie, włoskie, angielskie nie były wygłaszane. Ktoś, gdzieś, kiedyś widział nawet czasami autora, lecz rzadko za pulpitem referującego. Sprawa wyglądała by intrygująco, gdyby nie świadczyły o tym pewne podłożone rozmowy. Do przewodniczącego jednej z sekcji, w czasie przerwy w obradach, podchodził dwu Niemców (uczestnicy mieli do kłap przypinane karteczki z nazwiskami i narodowościami):

— Pragne pana uprzedzić, — zwraca się jeden z nich, iż nie będę mógł wygłosić dzisiaj komunikatu.

— Ależ czemu? Czy coś nie w porządku. Zaraz załatwiemy... — pośpiesznie zapewnia gospodarz — przewodniczący.

— Oeh, nie takiego. Widzi pan jest taka ładna pogoda, że chcę zrobić kilka fotogra-

fil na pamiątkę — wybuchną śmiechem i odchodzi wraz z kompanem od niepewnie uśmiechającego się przewodniczącego.

Na placu boju zostali więc Polacy, między którymi czasem, jak klejnot znalazł się jakiś gość z Węgier, CSRS, Niemiec czy Rumunii. Dopiero teraz w pełni wyłoniła się dalekowszoczność organizatorów. Ile można powieść o ciągu 8 minut o wieloletniej pracy? Opisać rezultaty, podać kilka cyfr i wykresów. To stanowczo za mało, by zorientować kogoś, kto nie pracuje bezpośrednio w tym samym zakresie. W dobie coraz większego zaważania specjalizacji takich ludzi coraz trudniej znaleźć. Można byłoby sądzić, iż wątpliwości, niejasności czy niedomówienia będzie można usunąć w dyskusji, lecz przecież wyrzucano język polski... Niemietanie komunikatu po niemiecku, francusku czy gorzej, po angielsku, jest jako tako sprawą prostą. Dyskusja wymaga jednak znacznie większej swobody w posługiwaniu się danym językiem. Pozostawieni sobie rodacy, jakajac się i krztusząc, czasem usiłowali zapytać o jeden czy drugi fakt, lecz nawet korzystanie z pomocy znajomych-lingwistów nie umożliwiała dyskusji.

W efekcie obrady biegły z uroczą szybkością. Co 8 min. następny prelegent wyskakiwał na podium i przemawiając tekst wynagradzany był oklaskami współuczestników. Dzięki chronicznemu brakowi dyskusji obrady

w sekcjach najczęściej kończyły się przed czasem. Z obowiązku reportera przysłuchiwałem się obradom kilku sekcji, między innymi nawozów sztucznych. Jak wiadomo w najbliższych latach produkcja ich ma ulec znacznemu rozwojowi i wydało się, że gdzieś jak gdzie, lecz tu obrady winny być szczególnie żywe i owocne. Rozmawiałem z kilkoma inżynierami z zakładów produkcyjnych — przecież to głównie dla nich został zwołany ten kongres.

— Nie, proszę pana, w ciągu tych trzech dni nie usłyszałem nic prawdziwie nowego, interesującego mnie, niczego, co przyniosłoby korzyść mnie lub zakładowi — powiedział jeden.

— Zainteresował mnie odczyt dr Gregora z Bratysławy na temat krystalicznej struktury nawozów potasowych i jej wpływie na aktywność w glebie — odrzekł drugi. — Kłopot tylko polega na tym, że u nas nie ma potasu. Ja produkuję nawozy azotowe... —

Czy wobec tego wynika, że obrady były zupełnie bezużyteczne? Nie ośmieliłbym się nic podobnego twierdzić. Nie pisałem przecież nie o stronie towarzyskiej kongresu, nie pisałem o naprawdę zachwycającym występie „Ślaska“ w pierwszym dniu obrad o doskonałym filmie francuskim z 1956 r. „A jednak Warszawa“, wyświetlany na otwarciu kongresu. Mimo tych niewątpliwych sukcesów, koszt imprezy wydaje mi się zbyt wysoki.

LECH UTRACKI

Jeszcze 10 lat temu nikt na świecie poważnie nie myślał, że można się obejść bez owiec, odebrać naturze patent na najlepszy surowiec do przyodziewku człowieka. Kiedy w 1954 r. Du Pont wypuszczał pierwsze partie orlonu — syntetycznej wlny — nie snił zapewne, że jego produkt zrobi tak oszalamiającą karierę.

W owym czasie myśmy nie bawili się w subtelności. Szło przede wszystkim o wykończenie Nowej Huty, o budowanie podstaw. Orlonowe cudeńka mogliśmy podziwiać jedynie na wystawach sklepów komisowych. Dość szybko wszakże doceniono u nas wartość nowego wynalazku. Już w 1957 roku zaczęto się rozglądać za możliwością zakupu licencji. Nadeszło 10 ofert — ze Stanów Zjednoczonych, Anglii, Francji, NRF i Belgii.

Inż. Zygmunt Ciesielski ze Zjednoczonego Przemysłu Włókien Sztucznych, ruszył wraz ze swymi współpracownikami w „kurs” po świecie. Dla ludzi, którzy wówczas niewiele jeszcze wiedzieli o tajemnicach orlonu, decyzja była trudna. Należało wyszukać najlepszy dla nas proces produkcyjny, kupić tania a dobrze, odróżniając poważnego oferenta od hochsztaplera. Wreszcie wybór padł na angielską firmę „Courtauld's Ltd”. W Warszawie rozpoczęły się negocjacje. Anglicy kupcy, o czym wiadomo nie od dzisiaj, są niezwykle twardzi i nieustępliwi. Rokowania przerywano i wznowiano, nasi kontrahenci posunęli się nawet do użycia rzadkiego manewru: w pewnym momencie zerwali rozmowy i odjechali na lotnisko. Ale wrócili.

Kontrakt, opiewający na okrągłą sumkę 2 milionów funtów szterlingów, przewidywał dostarczenie Polsce licencji oraz urządzeń dla dwóch „ciągnów” produkcyjnych. Ze swych zobowiązań nasi partnerzy wywiązali się jak najsolidniej.

Równocześnie ze staraniami o zakup licencji rozpoczęto poszukiwanie właściwego miejsca na lokalizację przyszłej fabryki. Początkowo mówiło się o Gorzowie, potem o którymś z punktów „trasy wielkiej chemii” nad Wisłą, w końcu, metodą eliminacji, zdecydowano się na Łódź. Za takim rozważaniem przemawiały poważne względy. W Łódzkich Zakładach Włókien Sztucznych już w 1958 roku ruszyła na skalę doświadczalną, półtechniczną, produkcja orlonu. Na razie niezbyt udana, o czym świadczy nie najpiękniejsze przeciwieństwo sztuczne futerka z „Telimeny”, ale pozwalająca w każdym razie zdobyć wprawę, przygotować przyszłych specjalistów. Po drugie — powstał projekt, by nowy zakład „wbudować” w istniejącą już fabrykę, co — jak przewidywano — przyniesie duże oszczędności.

Życie potwierdziło trafność decyzji; fabryka wznoszona w szerym polu, choć łatwiejsza w projektowaniu i budowie, kosztowałaby orientacyjnie o 300 mln złotych drożej. Ale o tych sprawach później. Na razie, gwoli ścisłości, odwołujemy, iż władze miejskie w Łodzi z początku ostro sprzeciwiały się budowie fabryki. Trudno się temu dziwić po dziesięcioleciach gorzkich doświadczeń naszych nosów, drażniących smrodkiem z Widzewa, po wypadkach zatruć dwusiarczkiem, wydzielającym się przy produkcji włókien wiskozowych. Orlon, to zupełnie coś innego — przekonywali specjaliści, ale laicy nie bardzo chcieli im wierzyć. Na prośbę przemysłu, dyrektor Łódzkiej Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej wybrał się do NRD, gdzie rzecz sprawdził w praktyce. Po powrocie — podpisał zezwolenie na budowę. Zresztą inż. Ciesielski, spec przeciw od tych spraw, dzisiaj sam przyznaje, iż nie bardzo wierzył w bezwoność orlonu. Po przybyciu do fabryki Courtaulda — mówi — przede wszystkim wydrapałem się na dach i włożyłem głowę w wyłot szybu wentylacyjnego...

Była więc licencja, było miejsce. Czas naglił, wprężniono zatem do pracy równocześnie 10 biur projektowych, by jak najszybciej opracować dokumentację.

I kwietnia 1962 r., na prima aprilis, ale całkiem na serio, ruszyła budowa fabryki. Za parawanem starych murów, pamiętających czasy Kona, zaczęło wyrastać coś, o czym nikt nie marzył jeszcze w połowie wieku dwudziestego. Ten skrót perspektywy czasu ma swą wielką, choć przez projektodawców niezamierzoną, wymowę.

Gdy wszystkie sprawy ważne były załatwione, pozostał jeszcze akt symboliczny, nie pozabawiony jednak znaczenia handlowego. W wyniku konkursu orlon przybrał w Polsce nazwę „ANILANA”. Przyjęli ją dla siebie również Łódzkie Zakłady Włókien Sztucznych.

II.

Wasz reporter znalazł się tam po upływie 30 miesięcy od opisanych wydarzeń. Do chwili uruchomienia fabryki pozostało jeszcze około 6 tygodni. Właściwie wszystko było gotowe. Na postumentach, przykryte brezentem, stały maszyny, skontrolowane już w ruchu. W małej sali obok głównej hali produkcyjnej odbywał się właśnie wykład dla przyszłej załogi.

Przyznam Ci się, Czytelniku, że bardzo nie lubię poświęcać uwagi procesom produkcyjnym i zwykle unikam tych opisów. Tym razem jednak musimy uczynić wyjątek. Bowiem „Anilana” będzie fabryką, jakiej dzisiejsze pokolenie właściciel nie potrafi sobie wyobrazić.

Schematycznie rzecz można przedstawić w sposób następujący: z cystern na bocznicę kolejowej przepompowuje się do zbiorników akrylonitrylu — związek chemiczny w stanie płynnym, stanowiący podstawowy surowiec do wyrobu anilany. Dalej już wszystko odbywa się automa-

tycznie. Płyn ze zbiornika przechodzi rurociągami do hal produkcyjnych, poddawany jest dziesiątkom różnych przekształceń, by w końcu zamienić się we włókno, idealnie przypominające wełnę. Przędzalnie, jaką znamy, przypomina jedynie ostatni odcinek — pakownia gotowych wyrobów. Reszta, że strawujemy poetę, jest płataniem rur.

Nad całością procesu czuwa jeden człowiek — dyspozytor przy pulpicie sterowniczym. Ma on przed sobą kilkumetrowej długości tablicę, na której odwzorowano wszystkie urządzenia. Każde z urządzeń ma na tablicy odpowiadające mu światła — sygnalizacyjne. Powyżej — system zegarów kontrolnych i innych aparatów pomiarowych, pozwalających na natychmiastowe wykrycie jakichkolwiek zakłóceń.

Inż. Tomasz Biliński, dyrektor inwestycji, z którym zwiedzamy sterowniczą, bez słów rozumie moje pytania spojrzeniem. Wyjaśnia: „To kosztowało, owszem, ale fabryka bez systemu sterowniczego nie mogłaby właściwie funkcjonować”. I dodaje po chwili: „W przyszłości dyspozytora zastąpi myślnym elektronicznym”. No tak, w przyszłości, gdy nie będziemy już musieli liczyć się z każdą złotówką, postęp przestanie być wypadkową potrzeb i wyrzeżeń...

Wychodzimy z inż. Bilińskim znowu na plac budowy. W południowym skłonie nowoczesnej konstrukcji budynków, zbiorników, wież wentylacyjnych, nabierają szczególnie atrakcyjnych kształtów. Przed nami swobodna przestrzeń widzewskiego parku,

tam inżyniera, gdy wracamy z długiej wędrówki. „Tempo średnio-europejskie” — odpowiada lakonicznie.

III.

Wszystko, co wiąże się z anilaną, poczynając od samego wynalazku, a kończąc na stylu i sposobach budowy naszej fabryki, jest nowe i nieznane jeszcze ogółowi Czytelników, stąd konieczność mówienia o wielu sprawach naraz. Gdyby nie to, nie wypuściłbym z notosu większości zebranych pieczołowicie informacji, a skupił całą uwagę na sylwetce pewnej przysławnej blondynki koło trzydziestki, która na szpilkach i w zarzuconej na ramiona „fufajce” dziesiątki razy dziełanie przebiega plac budowy.

Wtajemniczeni domyślają się od razu, że mowa o pani Wiesi, plenu tytułu inż. Wiesławy Jędrzejczak, inspektorze nadzoru budowlanego „Anilany”. Dlaczego właśnie o niej? Bo jeśli anilana symbolizuje najnowsze zdobycze techniki, to p. Wiesia — najmłodsze pokolenie naszych inżynierów, którzy z oddaniem i wytrwałością obracają tę technikę na pożytek ludziom.

Kartka z życiorysu: Ojciec, wychowywany na laskawym chlebie u starszego brata, gospodarza w podłódzkiej wsi Retkini, miał lat trzynaście, gdy musiał przerwać naukę i iść do pracy. Poszedł termować u murarza, bo bardzo chciał zostać inżynierem budowlanym. W jaki sposób miał to osiągnąć? Został murarzem, dorobił się przed wojną rodziny i mikrodromu na Retkini. Dziś jest cenio-

wychodzenie, z rodziny murarskiej. Po-desza bliżej, przedstawiła się grzecznie i w wyszukanej formie (panowie będą tak laskawi, panowie pozwolą sobie zwrócić uwagę...) wytłumaczyła błąd, który murarze (za szczęście!) popełnili.

To wystarczyło. Następne brygady, przybywające na budowę, widać pouczono przez poprzedników, zawsze już witały ją grzecznie i z szacunkiem.

— „Widzi pan — moja rozmówczyni wskazuje na główny budynek fabryki — pod tą halą tkwi 120 stóp fundamentowych. Betonowaliśmy je przez 25 dni, bez przerwy na trzy zmiany. Z każdej stopy należało pobrać próbkę i uczestniczyć przy wylewaniu betonu. Potem była uroczystość wmurowania kamienia węgielnego i mogliśmy pójść do domu”.

Potem „Anilana” wybudowała przy Piotrkowskiej wieżowiec dla swoich pracowników, potem okazało się, że Wiesia nie ma na liście przydziałów. Kiedy złożyła wymówienie, jakoś wykrojono dodatkową kawalerkę na 11 piętrze. Oczywiście, dotychczas bez windy, bo winda wszak drobiazg wobec 700 milionów złotych „przerobu”, przeznaczonych na budowę fabryki.

Każda z tych złotówek przechodziła przez ręce blond-inspektora nadzoru, przed każdą zapłatą należało odebrać gotową robotę od wykonawców, skontrolować, wykluczyć się o ostateczny koszt. Kiedy już większość prac była zakończona, p. Wiesia dostała propozycję od „wrogów”, czyli głównego wykonawcy fabryki, warszawskiego „Betonstalu”. Oferowali znacznie lepsze warunki, zapewniali mieszkanie w Warszawie. Wahala się, perspektywy kuśli, a z drugiej strony — przecież w tych murach właśnie tkwił cały trud, jakiego zaznała w życiu, tu wszystkiego się nauczyła. Sprawę ostatecznie przesądził ojciec: „Kursy języków trzy razy zaczynałaś i nie skończyłaś, z prawem jazdy tak samo, a teraz jeszcze chcesz rzucić „Anilane”. Pamiętaj, że liczą się nie ci, co zaczynają, lecz ci, którzy kończą. A jak ci chodzi o te 500 złotych na miesiąc, to dołóż”. I została.

Marzyła o urlopie. Dyrektor ani słyszeć nie chciał. Albo się buduje fabrykę, albo do kurortów jeździ na urlopie. Sam nie wyjeżdża od chwili rozpoczęcia budowy i innych nie puszcza. Takich, co mają na koncie już i po 3 miesiące zagwarantowanego Konstytucją prawa do wypoczynku, jest w „Anilanie” sporo.

Chodziła, molestowała co dzień. Wreszcie — zezwolił na 12 dni. Wyścięgnął rękę: „I tak...”

Coś jej... 12 zimnych dni, między 13 a 24 września. Wróciła z Międzyzdrojów ciężko przeziębiona. Teraz znowu biega po budowie w „fufajce”, choć przyszły upał, ambicja nie pozwalała się rozchorować.

Kiedyś się żegnał, powiedziała: — „A myślałam, że pan będzie pytał o historię budowy fabryki...” No właśnie — stwierdziłem — no właśnie o tym mówiliśmy. Chyba nie zrozumiała mego tłumaczenia. Inżynierowie myślą straszliwie konkretnie, a młodzi inżynierowie — szczególnie.

IV.

„Anilana” rusza w listopadzie, na razie na surowiec częściowo importowanym, zanim w połowie przyszłego roku gotowa będzie fabryka akrylonitrylu w Tarnowie. Już w przyszłym roku produkcja włókna wyniesie 5 tysięcy ton, co pozwoli wyeliminować import wlny o wartości 15 milionów dolarów.

W sytuacji, gdy surowce dla włókniennictwa stanowią wciąż jeszcze 15 procent ogólnokrajowego importu, uruchomienie „Anilany” przyniesie wielką „ulgę” naszej gospodarce. Co szczególnie ważne — nie będziemy musieli importować ani jednego składnika do produkcji tego włókna, wszystko zostało oparte na zasobach krajowych. A pamiętać należy, że np. włókno wiskozowe kosztuje nas corocznie miliony dolarów wydatkowane na import celulozy.

Zrozumiałe staje się teraz, dlaczego tak bardzo forsowano budowę „Anilany”. Ludzie, którzy ją wznosili, dali z siebie wiele. To jasne, pojmowali konieczność, której służą. Ale nie bez znaczenia chyba był w tym dopingu również „czynnik estetyczny”. Zaraz wyjaśnię, co przez to rozumiem.

Otóż inż. Biliński, z wykształcenia przeciwieństwo mechanik, którego głównie interesuje ciśnienie na zaworach, wytrzymałość konstrukcji i temu podobne rzeczy, ma w swoim gabinecie oszkloną szafę, wypełnioną najróżniejszymi próbkami anilany — przędzy, skrawków dzianiny, tkanin ubraniowych, katalogów firm zagranicznych. Od demonstracji tych próbek, wskazujących stosowania anilany, rozpoczyna rozmowę z każdym przybyszem.

A inż. Ciesielski powiedział mi wręcz: „Aż trudno doczekać się chwili, kiedy na wystawach pojawiają się piękne sweterki z anilany, puszyste koce i eleganckie futra. To piękna inwestycja, będzie ją zaraz widać na rynku”.

U ludzi, którzy mają coś wspólnego z „Anilaną” wyczuwa się pasję i niecierpliwość, choć jak najszybszego uwiecznienia dzieła. Traktują „Anilane” po trochu, jak swoją własną przygodę.

Mogliśmy w naszym raporcie przedstawić tylko niewiele spośród nich. Nie mieliśmy okazji pokazać złożonego wysiłku, dziesiątków przedsiębiorstw i biur projektowych, ani przejawów troski kierownictwa macierzystego zakładu, dla którego od pierwszej chwili „Anilana” była przyszłościowym oczkiem w głowie. Przerastając nasze możliwości okazał codzienny trud 600 robotników zatrudnionych na placu budowy. Nie reporter wszakże jest świadectwem najpełniejszym, lecz samo dzieło, w którym każdy z ludzi nie nazwanych tutaj po imieniu, ma swoją czastkę.

JULIAN BRYSZ

Przygoda „ANILANA”



za nią blok osiedla przy ul. Zbierczej. Nie widać stąd czerwonych murów widzewskich fabryk ani resztek drewnianej kolonii domków Kunizera. Za to łatwiej dostrzec sens życia.

Mój przewodnik jest chyba pierwszym, w historii socjalistycznego uprzemysłowienia w Polsce, inwestorem, który nie narzeka na wykonawców. Wprost przeciwnie, dla niektórych — jak warszawski „Betonstal” czy łódzki „Elektromontaż” — ma moc pochwał za terminowość, solidność i dokładność robót. A przecież buduje „Anilane” dosłownie cała Polska, wśród 16 przedsiębiorstw kilka jest takich, które z reguły „nie zadają się” z krajowymi inwestorami, pracują wyłącznie na eksport.

Jak to się udało, w jaki sposób w 30-miesięcznym cyklu budowy uniknięto zakłóceń i opóźnień? Słucham wyjaśnień inż. Bilińskiego i nie mogę wyjść z podziwu, jak to proste. Cała inwestycja była drobniawo rozplanowana, kolejność robót z góry i ściśle określona. Zrezygnowano z wszelkich „prowizorerek”, zaczęto budować od magazynu wyrobów gotowych, który służy potem za skład materiałów. Gdy służył hale znalazły się pod dachem, zmontowano instalację elektryczną i ciepłą. Nie było więc przestojów zimowych.

Jak pan ocenia tempo budowy? — py-

nym fachowcem od specjalnych robót w CBT.

Dla córki był zawsze wzorem, umiał wyrobić w niej zamiłowanie do swego zawodu. Po wojnie już razem rozbudowali rodzinny domek. Z dyplomem prawnika nauki w ręku wybrała się Wiesia na studia w Politechnice Warszawskiej wtedy właśnie, gdy w laboratoriach Du Ponta kończono ostatnie przygotowania do masowej produkcji orlonu.

Kiedy wróciła, po studiach do domu, natknęła się w prasie na ogłoszenie Zakładów Włókien Sztucznych, poszukujących inżynierów budowlanych. Tak zaczęła się znajomość Wiesi z anilaną. Miała „terminować” u starszego kolegi, ale ten po paru miesiącach odszedł z zakładu i została sama w momencie, gdy właśnie miała się zacząć budowa. Pół biedy było jeszcze z szykowaniem dokumentacji na licznymi wówczas posiedzenia dziesiątków zespołów i komisji, gorzej — gdy zjawili się żywi robotnicy i trzeba było wyjść do nich na plac.

Ci nowi przybysze, kiedy ją pierwszy raz spostrzegli „wzmocnili” z miejsca słowniki i z użyciem odpowiedniej terminologii zaczęli uzgadniać opinie o dziełach, udając przy tym, że wcale jej nie dostrzegają. Pocerwieniła, chciała zwać. Ale przypomniała sobie wtedy swe

J A Ś

Komenda Wojewódzka MO w Kielcach ogłosiła konkurs na pamiętniki funkcjonariuszy MO i Bezpieczeństwa z lat czterdziestych. Na konkurs napłynęła znaczna ilość prac. Jury nagrodziło kilkunastu autorów. Na podstawie nagrodzonych i wyróżnionych pamiętników Waldemar Babinić przygotowuje do druku zbiór opowiadań, które ukażą się w przyszłym roku, nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Poniżej zamieszczamy fragment z opowiadania „Jaś”.

— Dowódcę — wyszeptał wreszcie — dowódcę, czy naprawdę będziemy strzelać? Wiedziałem, że mnie o to zapyta. Miał dwadzieścia lat, pochodził z zabiedzonej wsi podkieleckiej, znałem na pamięć jego krótki, schematyczny życiorys: syn fornała, ukończył pięć klas, do piątej chodził dwa, czy nawet więcej lat, „nie dlatego, że się nie uczył, albo co ino, ale więcej nie było, szósta i siódma była w gminie, trza było chodzić osiem kilometrów w ciapkach”. Nie był lubia przez kolegów. Unikali ich zresztą. Nazywali go strachem na wróble. Miał jasne, konopiane włosy, duże, szeroko otwarte oczy patrzyły niespokojnie, usta złożone jakby do gwizdania, szeptały coś ciągle. — Mówisz mi, Jasiu, czy sobie tabliczkę mnożenia przepowiedział? — pokpiwali chłopcy. Kiedy wezwano „jas dziś na plac alarmowy do Komendy Wojewódzkiej MO zaważalem się. Wzięć go ze sobą? Wiedziałem, że jedziemy na akcję, słyszałem, że Bohun grasuje w powiecie, że poczyna sobie coraz to śmiać, napada na posterunki, urzędy, instytucje w biały dzień. — Poleje się krew — pomyślałem i spojrzałem krytycznie na Jasia. Odgadł moje myśli, jeszcze szerzej otworzył oczy, które naraz podciemniały, poruszył ki. — rzący wargami, obliżał je końcem języka i westchnął. — Skinałem w milczeniu głową, a on zrobił ruch, jakby mi chciał przypaść do ręki i pobić go do szeregu. — Dowodził nami nieustraszonego kapitan Bohun, wreszcie bez skazy i strachu — Bożyszcze. Wierzyliśmy mu ślepo. Znal kazdego z nas, wszystkie szczegóły tych naszych nieskomplikowanych biografii, umiał dwoma słowami trafić do każdego człowieka. — Możesz sobie własną ścięgłą — pouczal — ale trzymaj się wspólnego gościnnia. Wiesz przecież, dokąd ten nasz gościnnie prowadzi? A kiedy kiwałamy poważnie głowami, odpowiadał do brotliwie: — Jeszcze by, taki jak ty miał by nie wiedzieć? Ho, ho mógłbyś być za przewodnika w najczarniejszą noc. Prawda, bracie?

Niby nic, niby zwyczajne słowa, ale po takiej gadce zaraz robiło się człowiekowi jasniej, znikało znużenie, nogi same niosły, a oczy z daleka umiały wypatrzyć nieprzyjaciela.

Wiedziałem więc, że szczegóły walki są przemyślane, że wszystko potoczy się gładko i nie Bohun mnie niepokoił, lecz ten chłopiec z konopiastą czupryną.

— Dowódcę — powtórzył znowu i lekko dotknął mojej ręki.

Odpowiedziałem niecierpliwie: — Zamknij się, człowieku. Słyszales jak był rozkaz? Nie rozmawiać, nie palić. Westchnął.

— Przykrzy się. Tyle czasu w rowie. Może ich zwiad doniósł im, że nas tu była przyszło i nawiali.

— Boisz się?

— A dowódca nie? Każdy się boi.

— Ty się mną nie zaslaniaj. Widzisz go, jaki skory. Coś myślał, żeśmy tu na przedstawienie przyszli?

— Nijako, dowódcę, Swój do swego.

— Jaki on ci swój — zakląłem ostro i natychmiast poczułem, że leżący obok mnie chłopak skrzywił się. Był jak harcezyk: czysty w mowie, w myślach i u czynkach.

— Bo to dziś rocznica — zaszeptal znowu.

— Jaka ci znowu rocznica?

— Jakże? Powstania Listopadowego. Dwudziesty dziesiąty. Ile to lat? Bez obwódki nie złicze. Siedemdziesiąt do setki i czterdzięć pięć. Razem sto pięćdziesiąt.

— Widzisz go: toś ty i historię i matematykę. A do służby bezpieczeństwa się pechasz.

— E, tam, dowódca zawsze sobie lubi pozartować. A wszystko przez książki.

— Co znowu?

— Jak matkę szczerze Kocham. Tamten też sobie z książką wziął tego Bohuna. Czytałem, a jakże, całą Trylogię.

Sięgnąłem odruchowo po papierosa, ale się opamiętałem.

— I gdzież to, mój bohaterze, miałeś okazję do tych literackich ciągów?

— W chlewie — odparł i zachichotał.

Śmiech zadrwił mnie bardziej niż odpowiedź; nigdy nie widziałem nawet uśmiechniętego Jasia. Mruknąłem bez przekonania:

— Nie blaznuj.

Znowu zaklął się na mamę i pokrótce, chaotycznie, gubiąc końcówki słów, opowiedział największą przygodę swego życia.

— Jak pani dziedziczka wyjeżdżała — wie pan? wiecie, nie — w styczniu, to poniekąd lapać, co mógł. Komitet folwarczny zakazał brać, ale majątku przecież jakiego nie brały, ino same śmaty, te, co pani dziedziczka zostawiła, bo nie było gdzie na wozy wrazić. A ja znowu wziął książkę. Było tego z dziesięć kilo, może

więcej. Ale tato mnie skłcił i kazał wszystkim odnieść do pałacu, co do jednej. — Glupis — powiedział — zawsze był taki. Może w tych książkach jest coś ważnego? Dziedziczka była kształcona, umiała się rzadzić, ale przecież sama z siebie tej mądrości nie miała. Z książką. Przydadzą się, nie bój się, naszym ludziom, niech i oni się nauczą, jak na tym świecie leci. — Ojciec jest niepiśmienny, jak to w naszym stanie, ale chyba głupio nie gadał, co? Ale tych książek nie odniósł, wszystkim zakopał w chlewiku i zanim się do was zgłosiłem, podczytałem je sobie niezgorzej.

Coś zachrobotało w pobliżu. Podniosłem głowę. Zapytałem półgłosem: — Kto idzie? Hasło?

— Swój, swój — poznałem głos kapitan Bakuła — nie zimno wam tu? — A zimno, obywatelu kapitanie — odpowiedział za mnie Jasio — mówi się trudno: służba.

— Który to? Ach to wy? Uważajcie. Powinni być tu w pobliżu. Mamy informację, że cała banda wyszła dziś z Nowej Słupi i zapadła w jakiejś wiosce po drodze do Świętej Katarzyny. Czujajcie. Zapytałem o godzinę.

Kapitan zasłonił ręką zegarek. — Druga. A wam co, śpieszy się na randkę? No, dobrze, dobrze. Gdzie pozostali? Uważajcie na broń. Ale pogoda, zamówił sobie pewnie Bohun tę mżawkę.

— Jak w listopadzie — objaśnił Jaś i odczekawszy aż kapitan zniknie w mroku, zakończył swoje opowiesć:

— Złem zrobił, prawda? Przecież teraz wszystko należy do narodu. Trza było te książki zdać. Ale nie mógł. Grzech, co? Niby tu służę i, jak dowódca nas uczy, stoję na straży sprawiedliwości i ludu, a tu sam zlakomiłem się na cudze. Ale nie mogę odnieść. Żal mi tych książek. Chyba, że mi dowódca da urlop na jeden — dwa dni. Skożę do naszych czworaków, przyniosę wszystkie, poczytam. Będzie dla plutonu. Nie?



Drzwi od chałupy skrzyknęły. Położyłem rękę na twarzy Jasia. Wpiłem się oczami w sylwetkę. Chłop był w koszuli, rozglądał się niepewnie, nasłuchiwał, wreszcie ruszył do zabudowań gospodarczych. Siedziałem uważnie jego kroki. Leżeliśmy nie więcej niż o dwieście metrów od zagrody, ale nas nie zauważył; poczytał sobie coraz swobodniej.

— Za potrzebą wyszedł — wyjaśnił szeptem Jasio — to swój, chłop.

— Wszystkie chłopci są twój? Ze wszystkimi jesteś za pan brat?

— A już. Jakże by inaczej? — zdziwił się szczerze. — Dziedziczka co innego, dziedziczka to pani. Oba, A i rzadca też — dodał po chwili. — Karbowy też nie nasz. Ale co chłop to chłop. Bez różnicy, każdy swój.

— Ech, ty — nie dokończyłem. Słysnął ostry, drobny deszcz, a po chwili białe kuleczki gradu rąbały lawiną, bity w twarz, po rękach, wataczyły się za kolnierzy, kłwały, mroziły, zapięły dech. Odruchowo wyciągnąłem otwartą dłoń. Przypomniały mi się szczenięta lata, kiedy w podwiniętych porciętach biegalem po rymsztoku, zbierałem kuleczki, rzycałem z uciechy, zapomniały na lajania i pomstowanie matki, kładłem chropowate bryłki do ust i pełen radości wołałem: „Mamo, mamo, lody, jakie pyszne, o teraz śmietankowe, a te czekoladowe, spróbuj, mówię ci”. Matka uspokajała się, wycierała wleczenie zakawione oczu fartuchem i tłumaczyła sąsiadce: „Nigdy to-to nawet w ustach lodów nie miało, to się teraz gł. Czekaj, w niedzielnie tato postawi nam wszystkim po dwa lody, niech tylko nam zaskiek wyplać”. Zgarnąłem garść bryłek i wrzuciłem je do ust. Smakowało.

Jaś zachichotał.

— Fajny dowódca, jak Bożę Kocham. Ja też takie lody robiłem za młodu.

— No, dobra, dobra. — Nie chciałem dopuścić do cłklych wspomnień. A właśnie

teraz zorientowałem się, że w stosunkach z Jasiem ogarniałem mnie zawsze tęskne wspomnienia, ochota do tkliwych słów. Nie raz chciało mi się pogłaskać tę konopiastą czuprynkę, położyć dłoń na jego powieki. Co u licha? Za młody przecież jestem na ojcowskie pieszcoty. Cztery lata różnicy, ani jednego dnia więcej. Może ta jego rozbrajająco-dziecinna ufność do ludzi, jego wiara działają tak na mnie? Odburknałem coś niechętnie. Głośniej do dałem:

— Skocz, przyprowadź tego gospodarza. Jaś zerwał się, powiedział swoje „tak jest, dowódcę”, ale nie ruszył się z miejsca. Pokiwałem głową, okrzyknąłem nie głośno:

— Hej, tam, podejdźcie tu na chwilę. Chłop stał z wyciągniętą ręką, widać go było dokładnie, jak ostrożnie odwraca głowę, chwilę waha się i wreszcie spokojnie zapina guziki spodni i wolnym krokiem idzie w naszą stronę. Kilku chłopów wyskoczyło z rowu. Okrzykli go, pytali o coś szeptem, kiwał głową.

— Bandziórów tu nie było? — zagadnąłem, kiedy się wreszcie zbliżył.

Grad ustał, ucichło jakoś nagle i jakby trochę pocieplalo. Koszula chłopca była mokra, przylegała szczerle do ciała, z nosa i włosów ściekała woda. Przynajmniej do nas i wpatrywał się we mnie uważnie. Widziałem jego ciemne, bystre oczy, jajołatą głowę, krzaczaste brwi i duże, pożółkłe zęby spoza rozchylnych, grubych warg.

— No, co? Zamurowano was? — zakrzyknął któryś z milicjantów. — Gdzie banda?

— Ban-ła? — powtórzył ze zdziwieniem. — A bo to są jeszcze bandy? Niemcy wołali na naszych chłopców z lasu banditów, ale dziś w naszej Polsce... — rozłożył przepłaszającym gestem ręce.

— A wy jak nazywacie tych, co napadają na posterunki, mordują z ukręcia działaczy robotniczych, chłopskich, przedstawicieli naszej ludowej władzy? — za-

malowała się typowa „kielecka” łagodność. Nie, ten człowiek istotnie nie wiedział. Zapewne, nie budziłyśmy w nim grozy, ale i nie miał do nas zaufania. Nigdy przecież nie wiadomo, jak może się skończyć wizyta uzbrojonych po zęby ludzi.

Kapral Kasprzycki spojrział pytająco: — Puścić?

— Zauważyłem, że ogólne zainteresowanie osłabło. Chłopcy byli przemarnięci, chętnie wstapiliby do chałupy na rozgrzewkę. Zapytałem jednak półżartem:

— A broni nie przechowujecie?

Chłop pomilczał, powiedział po nas swoimi dobrotliwymi oczami, potem wbił wzrok w ziemię i powiedział głucho:

— Przechowuję.

Pręcien zamknął się natychmiast. Jaś zrobił krok naprzód.

— Przeważcie, gdzie ja macie — powiedział surowo. I zaraz pospasyły się pytania innych milicjantów:

— Jaka broń? Dlaczego nie zdalście?

Skąd ja macie? Prędzej, pręcej.

Chłop stał w miejscu. Dopiero teraz zauważyłem, że ma na nogach drewniaki i w ogóle jest najlżej w tym gronie ubranym. Trzeba by z nim do chałupy — pomyślałem. A w ogóle za długo trwa ta indagacja.

— Miałem kilka sztuk różnej broni — gospodarz podniósł głowę, patrzał spokojnie. — Zdałem prawie wszystko. Jeden tylko stary, zardzewiały karabin został. Zakopałem go na pamiętarkę. Po tamtej wojnie mamy jeden niemiecki karabinek. Do wojażki niezdatny, ale pamiętka po faszystach została.

— Muzeum macie zamiar zakładać? — zapytałem bez uśmiechu.

— Da Bóg, do tego nie dojdzie. Na trzecią wojnę już się nie poważa, prawda panowie?

Uchyliłem się od odpowiedzi.

— Wy pewnie te broń na zlego sąsiada trzymacie? — zapytałem ostro.

Jaś roześmiał się głośno, inni zawtórowali mu niepewnie.

Gospodarz spojrział na mnie niechętnie. — Pan pewnie z Bezpieczeństwa i z miastą?

— A co, wyczytaliście to z moich oczu?

— Ze wszystkiego. Pan przecież nie wsiowy, nie taki, jak ten — wskazał ręką na Jasia. — Robożnik? A może urzędnik?

I nagle zagadał szybko.

— Jaka tam ludowa władza, ludzie kochani! Procesowałem się przed wojną z sąsiadem cztery lata. Nie, nie o ścieżkę czy o miedź. O całą morgę łąki. Dwa tysiące przedwojennych złotych, cały majątek wydałem na adwokatów i sędziów i nic. Myślałem, że teraz co wsadzą.

A jakże. Chłopów muszą sądzić chłopcy. Nikt inny. Takie mam myśli.

Poprawił wreszcie spodnie, zmarszczył swoje krzaczaste brwi i rzucił wyzywająco:

— Nie podobają się panu moje gagańce, co? Może mnie pan brać. Wasza władza, wasza wola.

— Dajcie spokój, człowieku — Jaś położył mu rękę na ramieniu — mówię przecież, żeśmy swoi. Nie rozumiecie, że jesteśmy po to, aby was, wasze mienie ochraniać.

— Ochraniać? Mnie? A niby przed kim?

Kapral Kasprzycki zakrzyknął:

— Rozejść się na miejsca. Na politykę przyjdzie czas później. A wy, obywatelu, wracajcie pod pierzynę, dalej marnować swoje życie. Macie syna? Wychowamy go inaczej niż wasz chowan. Lat macie więcej niż rozum.

— A no, rozum za wiele to nasz naród nie ma — odparł ugodowo i pomknął truchcikiem do chałupy.

— Ale szpyrki w nogach — rzucił ktoś z milicjantów i w tej samej chwili rozległ się ogłuszający huk, pomarańczowa wstęga wykwitła ponad naszymi głowami, zakołysał karabin maszynowy z chałupy, ze stodoły, nawet z przycupniętego pokrętnie obok letniej kuchni kurnika odezwały się salwy karabinów, tuż koło mnie ktoś zakrzyknął przeraźliwie, ktoś zaskowyczał długo, boleśnie, chłopcy rozpięchli się w mgnieniu oka, a ja, padając, zdolałem pochwytać wspaniałego pióropuszą dyniacy nad Świętym Krzyżem, różowe cienie na szybko przejaśniającym się niebie i nieruchomą, pociemniałą twarz Jasia.

— Padnij — wrzasnąłem.

Osunął się wolno na kolana. Ciągłe rozglądał się dokoła, niepomyślnie na niebezpieczeństwo, stanowiąc świętym, doskonale widocznym celem dla nieprzyjaciela.

— Strzelaj — krzychałem — strzelaj. Zasadzka, mają nas dranie, jak na dłoń.

Pociągnął za spust machinalnie, obejrzał się w stronę chałupy, potrząsnął głową, zauważyłem jego szeroko otwarte usta, podniesione ramie, jakiś gest ni to strachu, ni rozpacz. I zaraz straciłem go z oczu.

Bitwa rozgorzała na dobre. Trwała bodaj trzy godziny. Nie ponieśliśmy tym razem strat. Kapitan Bakuł miał głowę nie od parady. Wszystko przewidział, wszystko przemyslał. Mogli nas zaskoczyć, mogli nawet zadać dotkliwe straty, ale nasze było zwycięstwo. Osaczona ze wszystkich stron banda miała tylko jedną alternatywę: poddać się, albo rozproszyć się i podjechać, na własną rękę salwować ucieczkę.

Dziwna rzecz. Dowodziłem plutonem, przyjmowałem i wydawałem rozkazy, wysyłałem meldunki, podtrzymywałem na duchu swoich dzielnych chłopców, strzelałem mniej lub więcej celnie, notowałem w pamięci każdy szczegół walki, ale ani przez chwilę nie przedstawiałem myślenia o Jasiu, widziałem jego zaspioną twarz, słyszałem pytania:

— Czy mamy prawo przerzedać nasze szeregi, które i tak przecież wytrzebił odwieczny wróg?

Brzmiła mi w uszach melodia Roty, którą śpiewał codziennie rano półgłosem, uroczysto, jak Chorał, jak „Boże coś Polsko”, skandując za namaszczaniem „Tak nam dopomóż Bóg, tak nam dopomóż Bóg”.

LISTY do REDAKCJI

SZANOWNY PANIE
REDAKTORZE!

W nr 33 Waszego tygodnika (którego Poznań może Wam pozazdrościć) ukazał się list p. B. Brzechalskiego, w którym Wasz korespondent, broniąc swojego stanowiska wobec wiersza Urszuli Kozioł prezentuje również na przykładzie urywka z mego wiersza swoją metodę „logiczno-semantycznego” odczytania metafory. Ponieważ mam co do tej metody poważne zastrzeżenia, a liczę przy tym że zainteresowanie, dla poezji wypływa u pana Brzechalskiego z rzeczowego umiłowania i życzliwości, a nie z tego, że „musi się trochę (i lubi to) reklamować”, co p. BB zarzuca Siemieniowi („Siad pociąg do tych smaczków i gratisowych nagrań”), ośmieliłam się zabrać głos w tej sprawie, zwłaszcza, że nie chcę bronić wiersza (sąd o nim pozostawiam innym), lecz metafory.

Oto cytuję z wiersza (specjalnie pozostaję przy cytacie, choć nie wolno rozpatrywać, i oceniać, fragmentów fragmentów):

... W pojedynkę,
we dwoje,
wiem znówu,
że dłonie stworzone zostały
do chodzenia...

A oto „wykładnia” p. Brzechalskiego: „Jeżeli autor na tych swoich dłoniach „do chodzenia” przejdzie z Redakcji „Odgłosów” do Grand Hotelu stawiam tyle kaw, ile wypije i ciastek, ile zje”.

Wydaje mi się, że każdy Czytelnik odczytał już sekret tej „metody”: upór, aby każdy zwrot przenośny odczytywał dosłownie. Wymowa mego wiersza (pojmowanego w całości) jest prosta: człowiek potrzeba (brzdąk) pojmować nie w izolacji, lecz jako zbiorowość, człowiek przestał być już człowiekiem poza zbiorowością, w pojedynkę mógłby się założyć co najwyżej do zwierząt. Tymczasem p. Brzechalski tylko wie, gdy się wykaże zdolnościami akrobatacznymi, pragnie mi zafundować dowolną ilość kaw i ciastek!

Można i tak, ale czy służy nie? Czyż przy stosowaniu tego typu metody nie trzeba by się bać powiedzieć czegoś niewłaściwego? No bo niech zrozumie to ktoś dosłownie?

A język polski, jak wiadomo, przesycony jest zwrotami przenośnymi. Mówimy właściwie samymi przenośnikami, które — jak chce tego pan Brzechalski — „jako metafory, jako elementy logiczno-semantyczne są pomysłami



Barna Megyeri: Kobieta

brzdurnymi”. Nawet bowiem tak zwykłego i potoczego powiedzenia jak — „Wróbel siedzi na drzewie” — nie wolno polmować dosłownie. No bo czy „wróbel siedzi”? Czy „na drzewie”? Proszę to sobie wyobrazić dosłownie, narysować a la Grus, będzie brzdurne, i — zabawne.

Nie szukają zresztą daleko — w tekście p. Brzechalskiego aż się roi od zwrotów, „które jako elementy logiczno-semantyczne byłyby pomysłami brzdurnymi”. Wynotowuję przykłady

pierwsze z brzegu: słowa grube i cienkie, brzydki wyraz, prodykt z tej samej beczki, upiór, ludzie prości, czytelnik masowy itp, itd.

Podjęmując metodę mego krytyki mógłbym powiedzieć zalem fakt: „Jeżeli autor listu pokaże mi słowo grube i cienkie, ołowika prostego, czytelnika masowego, beczkę, z której zaczerpnął mój tekst stawiam tyle kaw itd.”. Wierzę jednak, że taka metoda jest zbędna. Wystarczy po prostu jeśli do cudzego tekstu usło

sunkujemy się tak jak na to zasługują: tzn. przynajmniej ze zrozumieniem i życzliwością. Wiedzą zaś okazał się, że p. Brzechalski ma prawo bronić swojego punktu widzenia, natomiast poeci, naśladować chociażby język swoich krytyków, mają prawo posługiwać się przenośnikami.

Łączę wyrazy szczerzego poważenia i sympatii.

JÓZEF RATAJCZAK
Poznań, Rycerska 12 m 8

HELENA DUN/NOŃNA

„COS” DLA DAM

W styczniu 1886 roku Dziennik Łódzki lekomyślnie poinformował modne panie, że w Paryżu „wybuchła” nagła, a obowiązująca moda na „kapelusze damskie składane na sposób szkaplaków męskich, przeznaczone specjalnie na wyjście do teatru”.

Wprawdzie Łódź stałego teatru jeszcze wtedy nie posiadała, ale często zjawiały się przeciw zespoły przyjezdne i, zwłaszcza gdy na afizurę czytało się nazwiska takich artystów jak Frenkiel, Leszczyński czy Loudowa, wypadało po prostu pokazać się w łożu w „Victorii”, tej sali najbardziej eleganckiej i najbardziej na wszelkie teatralne występy wtedy taki właśnie składany kapelusik! A że, jak się czyta, modystki paryskie robiły z różnych kolorowych atłasów — jakże podniosły i elegancką szyć i osobistą każdą z pań urodzić!

Ale cóż! Żadna z łódzkich modystek nie słyszała nawet o tym cudzie i wykonać go nie potrafiła... Ach, ta Łódź! Ta brzydka, zacofana, prowincjonalna Łódź. Bo oto i druga sprawa, też naturalnie z Paryżem związana...

Niejedną z modnych pań, z tych zwłaszcza, które dzieci nie mają, hoduje sobie domowego pieska. Mile to takie, uciętne, pieszczotliwe, małe, białe pudełeczko najczulsze.

Z jakąż zazdrością czyta się w Dzienniku, że w Paryżu powstał właśnie magazyn strojów, specjalnie dla psów przeznaczony, i że „tamże odbywa się zarazem strzyżenie pudelków, stosownie do pory roku i mody...”.

Z głęboką melancholią spoglądały łódzkie eleganci na swe ulubione pieski, o które u nas, tutaj w Łodzi, a nawet i w Warszawie, nikt nie potrafił racjonalnie zadbać...

Te z pań, które należą do „dobrego towarzystwa”, są jednocześnie dobrymi gospodyniami, również miały swoje kłopoty i swoje zmartwienia. Nieraz potwierdza je Dziennik Łódzki. Choćby ta służba... Wcale się dziwić nie można, że felietonista Dziennika wysyła niewielkie, ostawione łódzkie służące.

„Wzorowa służąca łódzka — pisanie — pobierając dajmy na to 7 rubli zastaw kwartalnie, kupuje bućki za 5 rs, do kosiola iść nie chce, bo paltocek ma wytarty, a w chustce pokazać jej się nie wypada przy koleżankach postrojonych. Gdy mają być zabite kurczęta na obiad, wówczas okazuje się, że dwoje z nich już nie żyje, a dwoje dogorywa z głodu; gdyż wzorowa służąca zapomniała o nich przez kilka dni. Wreszcie wzorowa służąca łódzka nosi modną przynkę i przesiaduje każdego ranka dwie godziny przed lustrem...”

A taka na przykład inna no-

tatka: „Wzorem mieliśmy sposobność widzieć na ulicy Sredniej służącą, idącą na targ z zapalonym papierosem w ustach. Jest to chyba pierwszy tego rodzaju wypadek w Łodzi”. I wysiły tu taką pannę na targ, „do miasta”. Skontruj wydatki! Wiadomo, że ceny produktów nie tylko ulegają zmianie, ale i bardzo są elastyczne.

Nieznosne było również to tracenie przez służącą, kucharkę i właścicielką, drogiego, oplatowanego przeciw chlebodawcy, czasu. Wyszła się kucharkę „na miasto”, po sprawunki, i czeka się, czeka beznadziejnie. Prze padła na parę godzin! Nie dziwnego! Kto przeglądał Dziennik Łódzki, ten wie przecież, że „na targach naszych można spotkać stoliki różnych handlarzy, sprzedających gorącą herbatę, jajka gotowane i różne potrawy...”. Przy tych właśnie stolikach promadzi się nie tylko głodna biedota — sprzedawcy uliczn, tragarze, właściciele kramików; wiadomo, że to również nieoficjalne „klub kucharek”, miejsce codziennych spotkań, gawęd, obmów i plotek. A czas leci — ani się opatrzysz, człowieku! A pani czeka...

Niejedną znow czytująca Dziennik Łódzki czula mama uganiała się, i to bez nadziei, po całym mieście w poszukiwaniu „przyrządu mającego zapobiec fatalnym skutkom zdrowotnym uczniowi z powodu pochylego siedzenia i schyłania głowy przy pisaniu...”.

Przyrząd ten ma „podtrzymać głowę ucznia w prawidłowej pozycji i nie pozwalać mu na przycieknięcie piersi do ławki lub pulpitu...”.

Czy nie będzie to jednak dla chłopca zbyt męczące? Wynalazca, p. prof. Gasmann, zaręcza, że nie, ale trzeba się osobiście przekonać, usiąść samej w ławce, wypróbować. Więc czula, staranna mama nie żałuje ani sił ani czasu, gotowa nawet do Warszawy pojechać, gdyby tam zdobyć mogła ów przyrząd łódzkiego pochodzenia.

Warszawa zresztą jest w roku 1886 na ustach wielu dam. Przecież w Dzienniku można przeczytać, i to niejednokrotnie, że „kilka odważnych panien łódzkich wybrało się do Warszawy z zamiarem uczucia się tam przyznacenia w muzeum pszczołniczym”. Ze... „mnóstwo panien łódzkich zabiera się nie zartem do medycyny, advokatury i innych studiów mniej lub więcej ścisłych...”.

A więc — ped do stolicy; ped do wyższych studiów — prąd emancypacyjny, docierający nawet tu, do tego miasta kominów, dalekiego zdawałoby się od wysokich, intelektualnych nurtów...

1) Dzisiejsza Nowotki.

Książkami

IWASZKIEWICZ O DANI

Wcale się nie zdziwiłem, zobaczywszy w księgarskich drugie wydanie szkiców o Danii Jarosława Iwaszkiewicza pt. „Gniazdo łabędzie”. Jest to książka, która w sposób własny zaspokaja ciekawość świata, łącząc przyjemne z pożytecznym. Iwaszkiewicz, w okresie międzywojennym sekretarz ambasady polskiej w Kopenhadze, znający język duński, życie i kulturę tego kraju, również i po wojnie często odwiedzał Danię. Z tych kontaktów, obserwacji i doświadczeń narodziła się piękna książka, pomnożo-

na o wiedzę zaczerpnięta ze źródeł pisarzy i autorów duńskich. Czyta się „Gniazdo łabędzie” jak fascynującą opowieść. Bo też jest to opowieść o kraju i ludziach, napisana w sprawnym piórem znakomitego pisarza. Na kartach tej książki spotykamy „starych znajomych”: Andersen, Thorwaldsen, Banga i Nielsa Bohra. Autor poświęca im osobne rozdziały, kreśląc ze znanstwem i umiłowaniej losy artystów, pisarzy i uczonych duńskich. Istotnych znaczenie i sława wyszły daleko poza granice ich ojczystego kraju.

Uroku dodają książce polonica: losy przekładu „Pana Tadeusza” na język duński, pobyt Karola Szymanowskiego w Kopenhadze, zbliżenie twórcze u duńskiego poety romantycznego Oehlenschlägera i Stanisława Wyspiańskiego. Jarosław Iwaszkiewicz posiada rzadki dar polegający na tym, że pisze bez wysiłku, ujmując i ciekawie. Nie czuje się pod jego piórem żadnej manier, erudytycja jego nie przytłacza czytelnika i nie oszalała, forma swobodnej gawędy sprawia, że książkę tę może włożyć do ręki każdy jako tako o czytany i inteligent. Liczne ilustracje w tekście wzbogacają

ją wartość tej cennej publikacji.

J. K.

Jarosław Iwaszkiewicz „Gniazdo łabędzie”, wydawnictwo Iskry, Warszawa 1964.

JASZUŃSKI O AMERYCE

Po książkach takich jak najeuropejsza chyba „Niepokój amerykański”, czy Wiesława Górniciego „Głaz wśród Yankeów”, po książkach Osmańczyka, Rakowskiego, dostaliśmy do ręki wydanie przez Iskry „Nowojorskie ABC” Grzegorza Jaszunskiego.

Książka zawiera bardzo obfity materiał informacyjny-dokumentacyjny o wszystkich cieniach życia amerykańskiego w ostatnich dziesięciu latach, o jego specyficznych i paradoksalnych, o niedorzecznych posiadających samochody, o rozwalających się rudach bez prądu elektrycznego, ale zaopatrzone w światła lodówki, które służą do ochrony produktów przed szczerami, o wolności i demokracji tylko dla białych, o opiece federalnej policji śledczej nad cudzoziemcami, o strachu przed komunizmem, który zaprowadził i doprowadził Amerykę do... maccarthyzmu, o dzielnicy włóczęgów Bowery, obok dzielnicy

pałaców milionerów itd.

Nagromadzenie cieni w opisie obcego kraju musi zawsze znamioną tendencyjności edautorskiej i kto wie, czy raczej nie miało się z celem, jakim jest chęć odrobawienia też swojsce wykrzywionego, bo świetlanego obrazu Ameryki w oczach ludzi, znających ten kraj z piśm i filmowych. Ale książka Jaszunskiego nie jest wyważonym i wymierzonym w racjach dziełem literackim, lecz czysto informacyjnym i jawnie politycznym. Zresztą naszym wydehaczom do stupiętrojących domów, do Cadillaców sprowadzących jak manna z nieba, do bulwar rycerszy z Teksasu dostępnych rzekomo dla każdego pacybata i roznoście-la gazet, nigdy nie będzie dość złonych przyszcioć w postaci właśnie „Nowojorskiego ABC”.

A swoją drogą najlepiej do przelocowania trafiają jednak czy to książki takie jak „Cywilizacja amerykańska” Beardów, „Sku-chajcie, Yankee!” Wrighta Millsa, „Czarny jak ja” Griffina, czy też artykuły Waltera Lipmanna w współczesnej prasie amerykańskiej — słowem to co mówią Amerykanie sami o sobie — o swoich niepokojach i o swoich

czarnych plamach — w trosce o prawdziwą demokrację swego kraju.

W. K.

Grzegorz Jaszunski „Nowojorskie ABC”, Iskry, str. 327, zł 27.

DON TALAYESVY O INDIANACH

Antropolog amerykański Leo W. Simmons zaprzyjaźnił się z Indianem Donem Talayesvym z plemienia Hopi w Oraibi (stan Arizona). Miałą tu przyjaźń trwałą podstawy ekonomiczne, gdyż Hopi chętnie handlowali z białymi, każąc sobie za wszystko płacić. Nawet za zezwolenie na robienie zdjęć mieszkańcom rezerwatu. Tego nauczyła ich amerykańska cywilizacja. Jej napowrót nie oparli się nawet najstarsi stojący na straży tradycji kulturowych i plemiennych.

Przedmiotem wymiany handlowej między Simmonsem a Talayesvym były fakty biograficzne z życia Indianina. Antropolog zachęcił nawet swego przyjaciela do samodzielnego prowadzenia dziennika; placąc za każdą stronę bez względu na jej literacką czy też faktograficzną wartość. W rezultacie powstała interesująca autobiografia India-

nina; wodza Klanu Słońca.

W tego rodzaju autentycznych relacjach najważniejsza jest zwykłość, które przynosi obfity materiał poznawczy. Książka Dona Talayesvy jest dokumentem ciekawym podwójnie: jako dokument losu plemienia i jako dokument losu człowieka. Jest bowiem w tej autobiografii sporo fragmentów, z których każdy mógłby się stać samodzielnym wątkiem fabularnym. Może właśnie dlatego autobiografia Wodza Słońca, choć jej opracowanie pod jął się naukowiec, a nie literat, daje się czytać jednym tchem.

Książkę tę nie broni również pewnego istotnego podtekstu. Nie żdzą tu o oskarżenie przed-ków L. Simmons, ani nawet ludobójstwa konkwistadorów z czasów pierwszych odkryć. Idzie o oskarżenie całkiem już współczesnej cywilizacji.

Jest to kolejna pozycja z Ceramowskiej serii PIW.

K. F.

Don Talayesvy „Wódz Słońca, autobiografia Indianina”. Opracował Leo W. Simmons, przełożył Henryk Krzeczowski, wstępem opatrzył Antonina Kłosowska. Wyd. PIW, 1964.

WARTA



Tego młodzieńca, który idzie lekko rozchwybotanym krokiem środkiem rynku, znam doskonale: jest czeladnikiem piekarskim, każdy to rozpozna po zaproszoną mąką kombinację. Wiem nawet, zaraz skroci w bocznej uliczce i zanim zdąży wyobrazić sobie, jak będzie wdrapując się po kamiennych schodkach do swego mieszkania, usłyszą brzęk tłuczonych szkła, płacz dziecka. A te dwie panisze? Czy pozazajesz te korpułenności, które przed chwilą osunęły się w listwy ławki? Tak. Z łatwością dostrzegam z odległości kilkunastu metrów, że tani zroszkowany kreton ledwie powstrzymuje owobłość ciała i gorzka dojrzałość lat. O, poznałbym ja nawet w łodzi Charona, domyślam się nawet, o czym teraz mówią, mógłbym odtworzyć ich dialog wieczornych godzin, gdy zmeżone twarzyczki drzewa usuną się w chód pokoju i poprzez rozkwitłe, zadyszane paragonie będą rentgenować uchem i nosem blizniach i dalszych przedmiotów. A ten pan, ów dziwnie odziany osobnik o obliczu cukrowego buraka — czy, tylko czy rozbiegane zdradzają ożywną materię — nie zwykł chodzić tędy, śródmieściem. Przesuwają się wzdłuż plotów peryferyjnej uliczki — to skłonność do wielkomiejskiej terminologii — sunie cichaczem, przeszkadza mu wciśnięcie bliźnich, ich natarczywe spojrzenia, pytające o grubość portfela za sprzedane ogórki.

Nie potrafię jedynie odnaleźć w pamięci nazwiska tej wypaczonej smarkuli; wychodzi właśnie od fryzjera. No, nic dziwnego, przecież obdarowano ją „trwałą” naturą.

Oto cztery sylwetki wyluskane z galerii miasteczka, mógłbym zamienić je na inne, ciekawsze czy mniej uderzające, żyłtem się jednak tak bardzo z nimi, oddają mi jego atmosferę. Właściwie zawsze jest trudno spostrzeżyć szczegóły w dobrze znanym krajobrazie. Wszystkie drzewa i kwiaty są podobne, utrwalone tak silnie w oku, że tworzą kalejdoskop barw i kształtów. A tutaj znam wszystkie elementy.

Znam każdy kamień, który pożerał moje dziecięce zębki, każdy centymetr ulicy, zątecznie kanalikorytary, zaśmiecone drabinki schodów i parujące ryzostki podwórek (w chowanie, w palanta, potem w oczko), znam każdy odrapany dom i urodziwie wieże kościołów, i drżący kolor łak, ich fawolowanie, aromat, granie trzcini, leniwosć pobliskiej rzeki. Znam twarze dawne i twarze nowe.

Jeśli przybywacie do Warty od strony Sieradza, moje miasto rodzinne nie odkryje wam nagie swej urody. Od południa jest dyskretne, przycupnięte w schlundach domkach, owinięte gęstwiną ogrodów, które teraz wybuchają kulami owoców. Ale usposobij was przychylnie, i gładka nawierzchnia drogi, i czystość, miękkość otoczenia. Najlepiej zbliżyć się od strony Szadku. Najkorzystniej: już na siódmym kilometrze wychylnie znad horyzontu gruba kreska wieży, a potem — spiczaste fragamenty i rozsuwanie panoramy, którą jakby podbija plama zielonego wzgórk. Obok niego — ujście wiatrak, ostatni ocalały z potopu cywilizacji wiatrak. Było ich ongi kilka, otaczały szpałarem miasto. Ten ostatni „napowietrzny” młyn jest radosnym urozmaiceniem krajobrazu, jest jednocześnie pysznym skrótem miejscowej historii. Dwom innym, już po tej wojnie, przydano elektryczne konie, schowały się zresztą w panczerz cegły. Ale o tym opowiedzą wam już w miasteczku: i ów młodzieniec z zaproszoną łepotyńką, i owe dwie panisze, wszyscy. Nie trudno będzie zidentyfikować także zielony wzgórek — to cmentarz. Nim poznaacie miejscowe obyczaje, opowiecie: zachodzi się tam nie tylko w finalnych okolicznościach. Gwoli modlitwy czy kontemplacji. Jest mianowicie punktem docelowym niedzielnych spacerów i przechadzek, jakimiś miejscem pogwarek i przekazów „najwyższych wiadomości”. Starożytna agorą i współczesnym deptakiem. Tutaj bowiem, w obliczu zabarzonej przyrody i rzeczy ostatecznych, zanika powszednia kłótniowość i niewdzięczny i brzdaniący daleko bardziej wyciągnięty posredniości. Przyjmijmy na chwilę ten kat widzenia, bo rozszerza się on o dodatkowe pojęcie: człowiek, do którego film jest adresowany. Łączy się ze słowami: wrażliwość, światopogląd, dojrzałość i wspólczesność. Dotyczy „widowni”. Ze widza dzisiejszego należy przygotować do pełnego i właściwego odebrania adresowanych do niego treści (i formy, i formy) nie muszą Cię, Czytelniku, przekonywać. Co najwyższej, czytuję makabryczną nieco anegdotkę: Po wyjściu z kina, gdzie wyświetlano „Mein Kampf”: — „Jak ci się film podobał?” — „Fajny. Ale książka lepsza”.

chcę, wspomnianie wyrównuje w namiętnościach zwichrzone proporcje i przynajmniej na moment ludzie wracają do normy rozsądku. Wydaje się, ów zielony wzgórek zbyt natarczywie wchodził w życie mieszkańców, poprzez swoją bliskość i „ładność”, a może stamtąd zlatują demony smętku i apatii, jakie widzę w twarzach? Hiekróć w tym miasteczku obsunie się po mnie fraso-blizwe spojrzenie, to myślę, że jego właściciel za często podchodził topolową ścieżką na zielony wzgórek.

Za dotknięciem murów i ulic odczuwają się różne warstwy pamięci. Przywołuje mnie najpierw warstwa najbliższa: przysłonięty już jakby matowym filtrem obraz przedwojennej Warty, ze stukotem po ogromniastych brukowcach chłopskich furmanek, z zapachem straganogowego piczywa i lepkich, zółtych rzemiennych uprzęży, cała pstrokacizna targu, z jarmulkami sprzedawców żydowskich i rozdmuchanymi wiatrem kołami obfitych spódnic. Woń czosnku i ryby mieszała się z ostrym amoniakiem konińskiego nawozu, nawoływania przekupek zaplepiały uszy powojnymi propozycjami kupna. To wszystko działo się na rynku, lecz akcja tego aktu dawno się skończyła — rynek zamieniono w kwietny skwer z ławkami, któremu patronuje ratusz, o wiele dostojniejszy niż z opowiadań Jana Czarnego, a towarzyszą mu rozsiadłe z gracją kamieniczki. Należą do „obywateli”. Dziś zresztą nikt tak nie nazywa właścicieli. A jednak, pamiętam, ta na wskroś demokratyczna nazwa oznaczała niegdyś posiadaczy nieruchomości piętrowej lub parterowej, i termin ten w obiegowym znaczeniu był nieugiętym wyróżnikiem klasowym. Dawne to czasy, myślę sobie, patrząc na rynek z gabinetu przewodniczącego Rady Narodowej, i uzupełniam refleksję: nigdzie tak jak w mieście rodzinnym nie uświadamiamy sobie naszego wieku, całego okrucieństwa przemijania. Kiedy rozmawiam z ojcem miasta, p. Władysławem Tyłńskim i jego najbliższym

współpracownikiem, p. Marianem Binkowskim (oba tu wyróżli, przykładni patriotyci) pamięć moja kurczy się coraz bardziej. Gwałtownie wytraca się czas przeszły miasta. Nie myśli się nawet o tych czas-mających postaciach, młodszych i starszych, cierpliwie wygniatających narodziłki ulic lub ochoczo rozlewających ćwiartki animuszówki w pobliskiej gospodzie. Patrzę oto innymi oczyma, obejmuje mnie zupełnie terazniejszość, dotykająca codzienność moich ziomków. Bo to już inne mury i inne ulice, wzniezione bądź odmienione w powojennym dwudziestoleciu. Więc przybyła szkoła, Technikum Ekonomiczne — pomnik 1000-lecia — marzenie pokoleń, począwszy od ucznia bernardynskiej szkółki, Deczyńskiego z „Kordiana i chama”, który tu zachodził za rzeki. Powstały dwa bloki mieszkalne, a w najbliższej przyszłości stanie osiedle mieszkaniowe na 10 ha. Gdybym tu mieszkał nie nosiłbym jak dawniej wody ze studni: położono ponad 2000 m wodociągu; nie napisano jeszcze hymnu na cześć samopłynącej wody, nie napisano też wiersza, o co się upominał Karol Irzykowski, o szczęściu z odnalezionego klucza. Jest i kino panoramiczne, nowa poczta, łaźnia, stadion, nawet dwa pomniki, powstał drobny przemysł.

Tymczasem moi rozmówcy z Prezydium roztaczają przede mną perspektywę rozwoju, który, oczywiście, będzie zależał od przypływu środków. Ufają, że dojdą ich kieszeni, wierzą także w ofiarnosć społeczeństwa, które waleśnie uczestniczyło w wodociagowym dziele. Pieniądże są tym bardziej niezbędne, ponieważ już w najbliższej przyszłości nastąpi spiętrzenie wód na Warcie (zbiornik „Jeziorsko”), a w związku z tym — szansa budowy ośrodka wypoczynkowego; Lódź będzie czekała na to równie niecierpliwie. Tymczasem ustawiono kilka domków campingowych, pojawiają się zwiady turystów, bo też jest tu kilka cennych starożytności — z 700-letniej biografii coś pozostało.

Mówiąc o Warcie, niektórzy

myślą wyłącznie o najbardziej wylądniętej dla psychicznie chorych i to osobom niebezpiecznie przywołują skojarzenia. Kiedy odbiera się je w innych kategoriach, architektonicznych i gospodarczych, zakład ten nadaje miastu dość odrębny akcent, stanowi jednocześnie poważne źródło zarobku dla znacznej części ludności (zastrudnia ok. 460 pracowników na 3.000 mieszkańców). A jednak przeoczyłbym może ten szpital, gdybym nie znalazł stamtąd pani w białym fartuchu, opiekuńczego ducha odeszłych od życia ludzi, których można zobaczyć przez siatkę ogrodzenia. Skoro już uznaję istnienie duchów, powiem, że dr Eugenia Kaleńnicz kupia wszelkie cnoty przypisywane zazwyczaj aniłom. Jej ofiarnosć, czułość dla chorych, nieustanna od dziesiątek lat, są tak wyjątkowe i niecodzienne, iż wzbudzą nawet podejrzania co do realności. Taki król charakteru odnajduje tylko u bohaterów Zeromskiego — hiekróć zaczynałam wątpić w wartość i skuteczność poświęcenia, przenoszę się myślą do Wart i gdzieś w jasnym kłatkach ludzkiej tragedii odnajduje Panią Doktor, jej pochylające się ręce, oddany napiętej energii, siła, oddaniem.

Z galerii miasta chcę wysunąć na światło jeszcze dwie postacie. Wedle pewnych trzeźwych opinii, wyciąkają one nadmiar czy nadształnienie dziwności. Oryginalny? Po części tak, w każdym razie ludzie odbiegający nieco od przeciętnych wyobrażeń ich rodaków o życie i o pracy. Jeśli Warta swą kulturę teatralną winna zawdzięczać m. in. dr Kaleniewicz i amator-teatralnikom — pod jej kierunkiem (ale słowo to nie precyzuje zasług i nie oddaje żarliwości jej organizacyjnego trudu) działa zespół teatralny — to nauczyciel Jan Cwendych — rozpiewał tutaj domy i ulice. Lekkie śpiewu w szkole, szkolny chór i orkiestra, męski chór „Lutnia”, wszelkie imprezy nabijane szczytów muzyką — tak od czterdziestu lat, bez wytchnienia, z samozaparcem, ciągle ze smyczkiem w rękę, ciągle z małą chrypką. Nazywa się to

pięknie: miłość sztuki, pasja, spalały się burzliwie ogniem. Sądził by należało że jakiegoś głębokiego przesvědzenie, pewność, że muzyka niszczy nudę, poszerza wyobraźnię, szlifuje człowieka, kazalo mu osiedlić się tutaj.

Wreszcie — Marian Bobrowski. Gdy zjedziecie do Wart i stacieście bezradni w którymkolwiek punkcie, zjawi się natychmiast, wyróżnie spod ziemi. Pozostanie to zapewne jego tajemnica, po czym pozna, że chcieliście obrzezać klasztorne freski, spyta o „Stacha z Wart” (Szukałskiego) lub posłucha legend o warkich rusalkach. Nie wiem sam, jak odgaduje zainteresowania, wiem natomiast — jestem pewny! — że tak r-r-rzeczka przeczują go barokowe aiałki, których ma wiele w domu. Z urodzenia i temperamentu — cygan-artysta, beztruski i poczciwy, bez fors i zawiści, z zawodu — stolarz i konserwator sztuki, z zamiłowania — kustosz miejscowych zabytków, przewodnik, gawędziarz. Choć kocha swoje nadkruszone figuryłki i smutne czoła wiejskich madoo, nie i nikt (nawet Michał Walicki, z którym utrzymuje kontakty, przed którym bije czołem) nie sprądzą go w letni skwar z plaży na rusztowanie czy do hebla. Ostatni, co ma czas i zna wartość swobody.

Nie dowiedziałem się natomiast, ile mają tu telewizorów — a mają chyba sporo! Ale obliczyłem ilość prywatnych samochodów — przybywa z każdym rokiem! — nie orientuję się także w dochodach miejscowych badylarzy i młynarzy; rozdziałik to zresztą pikantny, lecz marginesowy. Powiem tylko, że każdy z tutejszych na swój sposób kocha to miasto, jest z niego dumny, a wielu nie wyjechałoby stąd nawet do Warszawy.

W ostatnim akapicie u-mieszczę jedynie pochwałę dzielnym ludzi z małych miast i bardzo osobiste wyznanie, którego nie trzeba przyjmować dosłownie: moje miasto rodzinne jest najpiękniejszym miastem świata!

STANISŁAW KASZYŃSKI



Rys. Waclaw Kondek

TO drugie SPOJRZENIE

Są różne, gdy idzie o film. Jedno na przykład, koncentruje się na tajemniczym, tak frapującym misterium odbywającym się w murach wycieraków, którym przelietają smiercielniki lacy elektryzujące słowa: artysta, zagranica, kariera, gaże, aparate, plotki i kaprysy. A także magiczne pojęcia: twórczość, sława, sztuka, ba, nawet: niesmiertelność... Jest i inne, może mniej wioskoponne. Myślę o procesie upowszechniania filmu, o wym

użyte na początku. I, skoro po sługujemy się archetypami, to kojarzy się raczej z perypetiami mi bohaterów (pozytywnych) ognistych weteranów, lub z bardziej swojskim oraniem ugoru. Słowem — jest to teren pracy trudnej, pasjonującej i... nieumierającej. Wojewódzki Zarząd Kina w Łodzi i Centrala Wynajmu Filmów, to dwie instytucje, na których barkach spoczywa główna odpowiedzialność za pomyślne przeprowadzenie kampanii „widzówkowej” na terenie naszego województwa. Warto więc, choć ramy mojej notatki nie pozwalają na to, przyjrzeć się z bliska, jaki ciężar ona zawiera.

Ot, na przykład: kina. Kin jest wciąż za mało, istniejące — stałe, półstałe i ruchome nie są w stanie obsłużyć wszystkich środowisk (A jeszcze, ten wyż demograficzny). Choćż budowy i remonty nie ustają — kropla w morzu. Rzuceno więc hasło zakładania kin sieci pozapaństwowej, społecznych, związkowych. Do tej pory powstało ich 26, w tym 14 wiejskich. Pozwoliło to uzyskać dodatkowo 5.686 miejsc. Wciąż mało. A inicjatywa społeczna ma korzystny charakter i nie zawsze chce, kiedy może...

Na wsł, wiadomo, kina nie mają specjalnych pomieszczeń. Wyświetla się filmy w szkołach, świetlicach, remizach strażackich. Właśnie. Stan tych sal najczęściej wola o pomstę do nieba. Gospodarze bowiem nie troszczą się o ich wygląd i wyposażenie. Jakże często kierownik kina, które przyjeżdża raz na miesiąc, zaczyna swoją normalną pracę od... sprzątania sali po ostatniej uczcie weselnej lub zabawie wyprawianej z iside sarnacka fantazją! A zarwane podłogi, czy urażające przepisom przeciwpożarowym (och, straży ochotniczej!) warunki, które na powrót odgradzają deskami od świata i tak zaniedbane kulturalne środowiska?

No, a widz? Jeżeli nawet wej dzie do kina i obejrzy film (tu: jakość kopii — nowy rozdział w tej litani problemów) — kim jest? W jakim stopniu jest gotów do przyjęcia podsuwanych mu wartości? Artystyczny, filozoficzny. Jeszcze ko media, wiadomo, rzecz „chodliwa” i trafi. Ale nie zawsze — poziom kulturalny określa przecież i stopień poczucia humoru. A tzw. „film z teza”, niosący większy ładunek intelektualny, poznawczy? Kto nauczy

Człowieka-Modeli XX w. jeszcze nie wygrana, ale trwa.

HALINA KIJOWSKA

PS. Wszystko co napisałam, jest marginesem ciekawej konferencji, której celem miało być zainteresowanie aktywów społecznego działania Wojewódzkiego Zarządu Kina w Łodzi i Łódzkiej Ekspozycji Centrali Wynajmu Filmów. I datam się przekonano.

WOJEWÓDZTWO ŁÓDZKIE:

- 1) Kina sieci państwowej — 147:
 - miejskie — 43
 - wiejskie półstałe — 42
 - wiejskie stałe — 36
 - ruchome — 24
- 2) Kina sieci pozapaństwowej — 26:
 - miejskie — 12
 - wiejskie — 14
- 3) Do końca 1964 r. powstanie:
 - 10 kin państwowych,
 - 9 kin pozapaństwowych,
 - 4) Woj. lódzkie zamieszkuje 1.637.772 mieszkańców (dane za 1 półrocze br.).
 - 5) W ciągu 1963 r. kina województwa obsłużyły 5.888.450 widzów.

SZAMPAŃSKI WIECZÓR

Wystawione dla uczczenia naszego XX-lecia przez Teatr Powszechny widowisko Agnieszki Osieckiej „Piosenka prawdę ci powie” nie ku si się o ukazanie jakiegoś węzłowego problemu naszej epoki. Zresztą trudno pokazywać te problemy wśród obnażonych ud tańczących dziewcząt. Choć na swój sposób Osieckiej pokazać się je udało (problemy, nie uda). Widowisko to jest właściwie nowym „Kramem z piosenkami”, co jak by śpiewno-taneczny krótki kurs historii i obyczajów dwóch XX-leci: międzywojennego i obecnego.

Widowisko to bardzo wiele uroku: jest kolorowe, rozśpiewane, roztańczone, świeże i młode. Dobrze „siedzi” w linii repertuarowej Teatru Powszechnego i w mo żliwościach całego zespołu. Z partii wokalnych najlepsze są chóry rewersów i pieśni w wykonaniu całego ensemble'u. Solówki są raczej ciałem słabszym w tym organizmie — aktorzy dramatyczni nie mają zazwyczaj głosów na tego rodzaju „numery”, przy czym w piosenkach sentymentalnych („Rebeka”) za wiele melodramatu; gdyby to ciut, ciut przerysować — uzyskałoby się efekt parodystyczny, który świetnie leżałby w tonacji spektaklu.

W kompozycji widowiska, na skutek dłuższ — zwłaszcza na początku, raz po raz słabnie dynamika, ale waleorem jest dobre operowanie kontrastowymi nastrojami. Zasluga reżysera i aktorów jest taktowne ujęcie wszystkich scen, które mogłyby być przy innej interpretacji drażliwe.

Wieczór w Teatrze Powszechnym ma dwie skazozaloty, że za jedne pieniądze ma się wrażeń za dwa spektakle i że mogą nań przychodzić nawet głusi, bo wprawdzie przynajmniej połowa tekstu śpiewanego nie docho dzi już do szóstego rzędu (jeżeli zna się piosenkę mo żną ją sobie samemu dośpie wać), ale straty stąd wyni kłe sownie wynagradzają widzowi bogate, wdzięczne i krągłe efekty wizualne.

Trudno wymenić najlep szych wykonawców, tą pa lemka sukcesów winien się podzielić cały zespół. Mnie

osobiście najbardziej przy padł do gustu Czesław Przy była, grający cienko, parody stycznie, również trafny w momentach dramatycznych, obdarzony busterkeatonow ską powagą komieczną. Ale bardzo wiele dobrych zagrań miał także Michał Szewczyk, zwłaszcza jako komiczny „bohater pozytywny”, Zbigniew Niewczas, Marian Gamski, Włodzimierz Sko czyła („Ulani”). Bardzo do bra para „marginesów spo łecznych” w wykonaniu Poli Raksy i Jerzego Kamasa, najciekawszych jednak, wy razistych aktorsko w „Kochankach z ulicy Kami ennej”; tylko szkoda, że są mi tak mało słyszalni. (Z tekstu partnerującego im Skoczyła nie dobiegało nas absolut nie ani jedno słowo).

Wśród pań — w popi sowej roli Buby, kobiety luk susowej — Barbara Polom ska; w swoim sosie baletow-

wo-rewiowym — Halina Pawłowiczówna, Kaluda — traktorzystka — przeżabaw na, w ogóle aktorki dobre w ruchu, tańcu, ofiarne krę cą kuperkami i szampańsko fikają nogami, wszystko gwo li uczczenia Jubileuszu. Do brze sekundują im zwłaszcza w charakterystycznych tań czech aktorzy Przybyła, Szew czyk, Wiernik, Niewczas i inni.

Sztukę wystawioną przez teatr łódzki, opracowaną z wdziękiem przez warszawian kę Agnieszkę Osiecką, reżyse rował warszawski również reżyser Józef Wyszomirski. Choreograficznie przygotowa ła i szalowymi tańcami ub arwiła spektakl Barbara Fijewska, scenograficznie opar wiał z ścią nadwiślań skim (Warszawa, ten Paryż północny) poczuciem humoru — Adam Kilian, dając parę świetnych pastiszowych pomysłów z Chagalla, Morrisa Hirshfelda, Nikifora, Podko wińskiego i in. rosyjsko polsko-amerykańskich malar zy.

Opracowanie muzyczne o parcie na melodiach również od Wschodu do zgniełgo Za chodu — Andrzeja Mundkow skiego i Bogdana Pawłow skiego.

Sto spektakli murowanych. Złote jabłuszko — co się zo wie. W. K.

W ciągu dwudziestolecia po wojennego wiele narodziło się grup literackich. Żywa jed nych był krótkotrwały, nie za znaczący się żadnymi dokona niami, inne — dawały o so bie znać ruchliwością i wsze dobytstwem. Wystarczy tu przypomnieć grupę poznańską „Wierzbak”, która nie tylko wydała kilka almanachów li terackich, lecz także wstawiła się organizowaniem poznań skich festiwałów poetyckich — imprezy cennej i udanej. Ale nawet ta grupa po paru la tach zmarła śmiercią naturalną. Gdy się porównuje żywot literackich grup powojennych z istnieniem ugrupowań z o kresu międzywojennego, trze ba powiedzieć, że tamie mia ły życie dłuższe, trwałsze i weszły do dziejów literatury z niemałym dorobkiem. Ska mander, Kwadryga, krakowska Zwrotnica, lubelska grupa Cze chowicza, łódzki Meteor — oto kilka zaledwie ugrupowań z lat minionych, które nie tylko nie przeszły bez echa, lecz przeciwnie: na ówczesnej mapie literackiej Polski były żywymi ogniskami ruchów artystycz nych. Zaden historyk literatury nie może pominąć ich mil czeniem, każda z tych grup wniosła do życia kulturalnego swój własny ton i charakter. Wszelkie grupy literackie mo gą działać w oparciu bądź o program ideowo-artystyczny, bądź na zasadzie wspólnoty po kolenowej. Jasne, że grupa, której jedną więzią jest wiek jej uczestników, rozpada się szybko, niż ta, gdzie łączą ludzi cele artystyczne i wypra cowany wspólnie program dzia łania.

W tej chwili na placu boju pozostała jedna bodaj grupa literacka „Ponidzie”. Piszę o niej z tym większym senty mentem, że działa ona na zie mi znanej mi od dzieciństwa, że jest ugrupowaniem ludzi utalentowanych a przy tym skrom nych, którzy mają na oku ce-

le i zadania artystyczne i spo łeczne. Kielce są bodaj jedynym miastem wojewódzkim, gdzie nie istnieje oddział Związ ku Literatów. Czy to nie dziw ne? Miasto i ziemia, które wy dały tylu znakomitych pisarzy, chlubę naszej literatury i kul tury, nie mogą doczekać się zwartej, zorganizowanej insty tucji pisarskiej. I oto właśnie

Starachowice, Jędrzejowa, Szeze kocin, Wierza, mało: jestem przekonany, że już w najbliż szych latach grupa ta doprowa dzi do powstania oddziału Związku Literatów z siedzibą w Kielcach i w ten sposób jeszcze jedna biała plama znik nie z mapy kulturalnej Polski. Bo cokolwiek by się nie po wiodło, istnienie w mieście wojewódzkim zorganizowanej instytucji pisarskiej przyspaja miastu i jego życiu kultural nemu dynamiki i znaczenia.

Choć w grupie „Ponidzie” (jak chyba w każdej grupie li terackiej w Polsce) przeważają poeci, to jednak nie brak w niej i prozaików, a jeden z nich, Ryszard Miernik, wystar tował piękną opowieść „Mat to” (wyd. „Czytelnika” w War szawie), która spotkała się z bardzo pozytywną oceną kryty ki. Miernik zapowiada się jako całkiem pierwszorzędny talent prozatorski i z niecierpliwością należy oczekiwać jego na stępnych tomów.

Z członkami „Ponidzia” spędziłem wiele przyjemnych go dzin na rozmowach. Ze szcze gólnym wzruszeniem wspomi nam spotkanie sprzed dwóch lat, gdyśmy w czasie pięknej pogody siedzieli w Rożnicy pod rozłożystym drzewem (wiąz to czy kasztan?), dyskutując o poezji współczesnej w Polsce i na świecie. Wśród Ponidzian znalazł się Konstanty Tarnow ski ze Starachowic, który przy pomnił mi, że chodziliśmy raz em do szkoły (trasy boskiej) jak to już dawno temu?; a Ryszard Fatyga zbierał się do pisania pracy magisterskiej o poetach kieleccyżny okresu międzywojennego dwudziesto lecia (pewnie już też pracę na pi sał). Ryszard Podlewski, jed yny bodaj satyryk grupy, uba wiał nas i śmieszył swoimi uda nymi frazankami, a Ada Kopczyńska z Ostrowca, wtedy jesz cze uczennica liceum, wzru szyła jakimś wierszem lirycz nym, który odznaczał się świe żością i podziwu godną prost o tą. Ma „Ponidzie” i swojego Pasternaka, Bogdan mu na imię, zaciekle dyskutującego o poezji i piszącego wiersze, próbujące pogodzić to, co dawne, z tym, co nowe. Wy dany w roku ubiegłym alman ach grupy pt. „Nad Nidą” (Wyd. Łódzkie) jest przeglądem ich prac, dodajmy: przeglądem już dziś historycznym, bowiem grupa rozwinęła się, wzboga ciła o nowe utwory, posła naprzód. Rzadko się zdarza spotkanie młodych pisarzy, którzy nie tylko mają talent, z wdziękiem osobistym. Młode ugrupowania literackie chara teryzują się przeważnie ar anżacją, przekonaniem o swo jej absolutnej nieszwytkości, pogardą dla starszych pisarzy i tych, co wyznają inne, niż oni, przekonania i powady ar tystyczne. Byłem mile zdzi wiony, bał wręcz zaskoczony, że oblawów tego rodzaju nie zaobserwowałem u kolegów z „Ponidzia”. Może dlatego spo tykać się z nimi tak chętnie. Nie cierpie wszelkiej ma ści zadufków i megalomanów, których w środowiskach literac kich niestety, niestety jest tak wiele. Talent i wdunek, ta lent i skromność — nie może być cenniejszego u pisarzy w orle, a u pisarzy młodych w szczególności.

Z pewnością nie ma w tym zasług Waldemara Babinicza — opiekuna „Ponidzia”, pisar za o wyjątkowych talentach pedagogicznych i towarzys kich. W jego Rożnicy czło wiek staje się lęszy. Nie dziw nego, że i Ponidzianie są tacy jacy są. Wielkie brawa dla nich i dla niego.

GRUPA „PONIDZIE”

na tej ziemi powstało przed paroma laty „Ponidzie” — gru pa, której cele i charakter określa już sama nazwa. Jest to przy tym grupa, której siedziba wcale nie jest mia stem wojewódzkim. Nie w Kielcach zbierają się zazwyczaj Ponidzianie, lecz w małej Rożnicy — królestwie Waldemara Babinicza. Zjeżdżają do tej Rożnicy z różnych miast i miasteczek: Kielce, Ostrowca,



Wiesław Garboliński: Stare domy

Fot. A. Idziński

Jankoprowski

Notatnik KULTURALNY

28. IX. — 4. X. 1964 R.

PONIEDZIAŁEK

Oglądam zespół estradowy „Kiks”, jest to zespół złożony ze studentów Szkoły Aktorskiej występujący pod firmą „Estrady”. Na program składają się piosenki m. in. A. Osieckiej, wiersze Galczyńskiego, Tuwima i innych autorów oraz skecze. W drugiej części programu oglądamy kawa-

WTOREK

W Domu Nauczyciela w Piotrkowie odbyło się spotkanie z prezesem łódzkiego oddziału ZLP — Marianem Piechalem, który mówił o ostatnim zjeździe ZLP. W spotkaniu wzięli udział nauczyciele i aktywi kulturalno-oświatowy z teatru Piotrkowa i powiatu, w sumie około 100 osób.

Podobne spotkania odbyły się już w Pabianicach — z Janem Koprowskim i w Sieradzu — z Tadeuszem Papierem. Cenna ta inicjatywa przyczyni się niewątpliwie do rozszerzenia zainteresowań literaturą w terenie. A więc jak najwięcej spotkań z pisarzami.

ŚRODA

Znany łódzki literat starszego pokolenia Władysław Rymkiewicz, autor wielu interesujących powieści napisał sztukę teatralną, za którą otrzymał nagrodę Teatru „Ateneum” w Warszawie, przy znaną corocznie za debiut w dziedzinie dramatu. Sztuka nosi tytuł „Konsul” i będzie w niedługim czasie wystawiona w „Ateneum”. Serdecz ne gratulacje.

WRN w Łodzi podjęła decyzję przyznania nagród za działalność w dziedzinie upowszechnienia kultury. Nagrody otrzymali: red. Józef Mozga — twórca satyrycznej audycji „Vesoly Autobus”, Ryszard Muzica — nauczyciel ze wsi Klonowice w pow. Kutno — zasłużony w dziedzinie pracy amatorskiego teatru i zespo-

łów muzycznych, oraz Zbigniew Nowicki — pi sarz, autor w. stu powieści, których akcja rozgry wa się na terenie naszego województwa. Gratulujemy nie tylko nagrodzonym, lecz także WRN. Szkoda, że Rada Narodowa m. Łodzi nie pomy ślała aktualnie o nagrodach dla pisarzy, którzy uwzględnili w swej twórczości tematykę łódzką. Tym bardziej, że w in nych miastach nie zapo mna się o tym. M. in. „Niedroże” przysłało nagrodę za zasługi w rozwoju kultury na środkowym Nadodrzu poznańskiemu pisarzowi Eugeniuszowi Pauliszcie.

CZWARTEK

Teatr Powszechny i „Dziennik Łódzki” powo łały do życia nową scenę — Teatr Propozycji. Będzie on działał w sali Teatru Ziemi Łódzkiej. Na pierwszy ogień idą dwie sztuki Mroźka — „Karol” i „Czarowna noc”. Udział w przedsta wieniach nowej sceny za powiedzieli — Barbara Polomska, Jadwiga Siennicka, Zbigniew Niewczas, Czesław Przybyła, Tadeusz Sabara i Michał Szew-

czyk. A więc mamy po ciechę dla miłośników teatru awangardowego. Teatr Propozycji będzie nastawiony przede wszy stkim na sztuki ekspery mentalne. Aż ciarki prze chodzą jednak na myśl, że Mała Scena Teatru Nowego — też była pomysła na kiedyś, jako scenka dla sztuk eksperymental nych. Odpukałem tę czar ną myśl w nie malowane drewno i nie tracę nadziei.

PIĄTEK

Właśnie wrócił z obozu plenerowego znany łódzki plastycy Stanisław Fijałkowski i Lech Kunika. Obóz trwał trzy tygodnie — zorganizowany był przez miejscowe władze. Artystów nie nudziła, się tutaj; odbyło się szereg cieka wych spotkań z naukowcami i artystami. M. in. z referatem o poezji przyjechał na obóz Julian Przybysz. Wzamięm za pobyt na obozie każdy z jego uczestników zostawił w miejscowym Muzeum Regionalnym jeden własny obraz. Wszyscy są zadowoleni, bo Ziemia Kojalska bogata jest w ciekawe obiekty dla malarzy. Szkoda, że u nas

nikt nie myśli o zorganizowaniu takiego obozu. Malarze wędrują po łódzkich i podłódzkich pie nierzach sami, na własną rękę, czasem tylko z... babkami.

SOBOTA

Zegary się zbuntowały i nie chcą pokazać właściwej godziny — tej, na którą admirał wyznaczył wojnę. Do zbuntowanych zegarów przyłączają się różne przedmioty, a nawet słońce i dzieci, które chcą mieć ojca (admirała) w domu, a nie na wojnie. Trudno byłoby opowiedzieć treść sztuki, bo składa się na nią mnóstwo gagów, ładne piosenki Ryszarda Mroźka i wiele zabawnych scenek. Sztuka ta przeznaczona jest dla starszych dzieci, młodych rodziców, a właściwie dla najbardziej wrażliwego widza. Tytuł: „Kłótnia godna”, autor: znany łódzki dziennikarz Zbigniew Wojciechowski. Sztuka, za którą autor otrzymał nagrodę Min. Kultury i Sztuki wysta wiana była aktualnie w Poznaniu w czasie przeglądu teatrów lalkowych w Teatrze „Marcinek”, gdzie odniosła sukcesy.

Największy sukces to ten, że będzie ona wystawiana w Gdańsku, Krakowie, Opolu, Katowicach, Warszawie, a także w Nowym Sączu, Budapestzie, Bukareszcie. — Gratulacje dla autora. Spodziewam się, że jak dobrze pójdzie, to jeszcze będziemy ją oglądać w Łodzi... za kilka lat.

NIEDZIELA

Chodzą słuchy, że opolski „Teatr Trzynastu Rzędów” chce się przenieść do Łodzi. Nie potrzeba im specjalnie przygotowanego lokalu, nie trzeba sceny, mogą występować w każdej większej sali. A jednak wyłożyły się trudności jakiejś tam... A przecież to dla naszego miasta wielka szansa — czyżbyśmy mieli nie skorzystać z nadarzającej się okazji pozyskania jeszcze jednego teatru i do teatru eksperymentalnego, który był już w naszym mieście i odnosił tu sukcesy? Odważył panowie — myślcie, że ten teatr jest nam w Łodzi potrzebny, a i na mecenasałów spady splendor przy tej okazji.

J. H. WISNIEWSKI

Przeczytaj u dentysty Przeczytaj w pociągu Przeczytaj

W. SOMERSET MAUGHAM

SZCZĘŚLIWY CZŁOWIEK



Niebezpieczną jest rzeczą zdecydowanie o losie innych i często zastanawiałem się nad dufnością polityków i reformatorów, którzy są gotowi wyusiścić na swych towarzyszach zmianę postępowania, przyzwyczajzeń i poglądów. Zawsze wahałem się z daniem rad, albowiem jak można komuś radzić, nie znając go co najmniej tak dobrze jak samego siebie? Niebiosa wiedzą, jak niewiele sam o sobie wiem; o drugich nie. Możemy jedynie zgadywać myśli i uczucia naszych sąsiadów. Każdy z nas jest więzionym samotnej wieży i z innymi więźniami składającymi się na rodzaj ludzki, porozumiewa się za pomocą konwencjonalnych znaków, które nie posiadają tego samego znaczenia dla niego i dla nich. Na nieszczęście życie jest czymś, co można posiadać tylko raz; pomyłki są często nie do naprawienia. Kim jestem ja, że miałbym temu czy tamtemu mówić, jak winien pokierować swoim życiem? To trudny interes i dość miałem kłopotów ze zrobieniem z mego życia czegoś zwartego i kompletnego. Nie kusiłem się, by uczyć mego sąsiada, co winien zrobić ze swoim. Są jednak ludzie, którzy na początku podróży szamoczą się, czekając ich droga wydaje się im niepewna, ryzykowna i czasami, jakkolwiek wbrew woli, bywałem zmuszony do przechylenia szali losu.

Wiem, że raz poradziłem dobrze. Byłem młody i mieszkalem w skromnym apartamencie w Londynie, niedaleko Victoria Station. Późnym popołudniem, gdy doszedłem do wniosku, że dość napracowałem się tego dnia, usłyszałem dźwięk dzwonka. Otworzyłem drzwi człowiekowi zupełnie obcemu. Zapytał mnie o nazwisko; powiedziałem. Spytał, czy może wejść.

— Oczywiście.
Wprowadził mnie do salonu i poprosił, by usiadł. Wydawał się nieco zakłopotany. Ofiarowałem mu papierosa. Miał niejakie trudności z zapaleniem go, nie zdejmując przy tym kapelusza. Gdy w końcu dokonał dzieła, zapytałem, czy nie mógłby położyć kapelusza na krześle obok. Pospiesznie go zdejmując upuścił parasol.

— Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe tej wizyty — powiedział.

— Nazywam się Stephens i jestem lekarzem. Zdaje się, pan również?

— Tak, ale nie praktykuje.

— Wiem. Właśnie przeczytałem pańską książkę o Hiszpanii i w związku z tym chciałbym zadać panu pytanie.

— Obawiam się, że nie jest to najlepsza książka.

— Fakt pozostaje faktem, że pan wie co nieco o Hiszpanii, a ja nie znam nikogo innego, kto by mógł na ten temat coś powiedzieć. Pomyślałem, że może nie miałby pan nic przeciwko temu, by udzielił mi pewnych informacji.

— Będę bardzo uradowany.

Milczał przez moment. Siegnął po kapelusz i trzymając go w jednej ręce, bezmyślnie głaskał drugą. Zgadzałem, że daje mu to uczucie pewności.

— Mam nadzieję, że nie wyda się to panu bardzo dziwne, jeśli zupełnie obcy człowiek będzie z panem rozmawiał w ten sposób — uśmiechnął się przepaszając. — Opowiem panu historię mego życia.

Gdy ktoś do mnie mówi w ten sposób, wiem, że jest to dokładnie to, co zaraz zrobi. Nie mam tego za złe. W gruncie rzeczy raczej to lubię.

— Wychowywały mnie dwie stare ciotki. Nigdy nigdzie nie byłem. Nigdy nie nie zrobiłem. Jestem żonaty od 6 lat. Nie mamy dzieci. Jestem lekarzem wojskowym w szpitalu w Camberwell. Nie mogę tego już więcej wytrzymać.

Było coś frapującego w używanych przezeń krótkich ostrych zdaniach. Miały przykuwające brzmienie. Poprzednio obdarzyłem go jedynie przelotnym spojrzeniem, lecz teraz patrzyłem nań, zdziwiony, z uwagą. Był niewielkiego wzrostu, mocno zbudowany, krepki, prawdopodobnie około trzydziestki, z okrągłą czerwoną twarzą, w której błyszczały małe, ciemne i bardzo bystre oczy. Czarne włosy miał obcięte tuż przy karku. Jego błękitne ubranie, workowate i o wyphanych kolanach i kieszeniach, dawno już nie powinno było być noszone.

— Pan wie, jakie są obowiązki lekarza wojskowego w szpitalu. Jeden dzień jest podobny do drugiego. I to jest wszystko, czego mogę się spodziewać do końca życia. Czy pan sądzi, że warto?

— To kwestia środków do życia — odpowiedziałem.

— Tak, wiem. Pensja jest zupełnie dobra.

— Nie pojmuję dokładnie, czemu pan do mnie przyszedł?

— Widzi pan, chciałbym wiedzieć, czy pana zdaniem byłaby jakaś szansa dla angielskiego lekarza w Hiszpanii.

— Czemu w Hiszpanii?

— Nie wiem. Po prostu uroiłem sobie.

— Wie pan, że tam nie jest tak jak w Carmen.

— Ale tam jest pełno słońca, i dobre wino, i kolor, i powietrze, którym można oddychać. Niech mi pan pozwoli powiedzieć, co powinienem być już powiedział na początku.

Przypadkowo dowiedziałem się, że w Sewilli nie ma angielskiego lekarza. Czy sądzi pan, że mógłbym tam zarobić na utrzymanie? Czy to nie głupota rzucać dobrą, stałą, bezpieczną pracę dla niepewności?

— Co o tym myśli pańska żona?

— Zgadza się.

— To jest duże ryzyko.

— Wiem. Ale jeśli powie pan: „Podejmij je”, zrobię to, jeśli powie pan: „Zostań gdzie jesteś”, zostanę.

Patrzył na mnie intensywnie tymi swoimi bystrymi, czarnymi oczami i wiedziałem, że mówił to, co myślał. Zastanowiłem się przez moment.

— Od tego zależy cała pańska przyszłość. Pan musi sam zdecydować. Mogę panu powiedzieć tylko tyle: jeśli nie lubi pan pieniędzy, a zadowala się zarabianiem, by utrzymać razem ciało i ducha, niech pan jedzie. Będzie to dla pana wspaniałe życie.

Wyszedł. Myślałem o nim przez dzień, czy dwa i zapomniałem. Epizod wyjechał mi zupełnie z pamięci. Wiele lat później, co najmniej piętnaście, zdarzyło mi się być w Se-

willi. Poczulem się niedobrze; zapytałem portiera w hotelu, czy w mieście jest jakiś angielski lekarz. Okazało się, że jest i dostałem adres. Wynajęłem taksówkę. Gdy przybyłem na miejsce, otworzył mi drzwi mały tusty mężczyzna. Zobaczywszy mnie, jakby zawałił się.

— Czy przyjechał pan do mnie? — rzekł. — Jestem lekarzem angielskim.

Wyjaśniłem, z czym przychodzę i poprosiłem go do wnętrza. Mieszkał w zwykłym hiszpańskim domu z patio, na które wychodził jego zaśnieżony papierami, książkami, narzędziami lekarskimi i polanami drzewa gabinet. Wrażliwego pacjenta widok ten wprowadził w osłupienie. Zalałowiliśmy nasze sprawy i zapytałem, ile mam zapłacić za wizytę. Potrząsnął głową i uśmiechnął się.

— Nie.

— Czemu u diabła, nie?

— Nie poznałem mnie pan? Przecież ja jestem tutaj jedynie dzięki temu, co mi pan powiedział. Pan zmienił całe moje życie. Jestem Stephens.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, o czym mówi. Przypomniał mi naszą rozmowę, powtórzył, co mówił mi i stopniowo jakby z ciemności wrócił mi mgliste przypomnienie zdarzenia.

— Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek pana zobaczę — powiedział. — Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek będę miał możliwość podziękować panu za wszystko, co pan dla mnie uczynił.

— A więc to była dobra rada?

Popatrzyłem na niego. Teraz był bardzo tusty i lśny, lecz jego oczy miały to samo wyrażenie — wyraźne było okropnie obstrzeżone — wyraźne był je hiszpański krawiec — za kapelusz miał sombrero hiszpańskie z szerokim rondem. Robił wrażenie człowieka, który poznał butelkę dobrego wina, gdy na nią spojrzył.

Miał wyjątkowo ekstrawagancko załobniony, jakkolwiek zupełnie sympatyczny. Mogł się zawałać, powielając mi wyściska wyrostka robaczkowego, lecz nie mógł sobie wyobrazić rozkoszniejszego kompana do wypicia szklaneczki wina.

— Ale! Przecież pan był żonaty — powiedziałem.

— Tak. Mojej żonie nie spodobała się Hiszpania i wróciła do Camberwell.

— Oh, bardzo mi przykro.

Czarna oczy błysnęły baczącym uśmiechem. Naprawdę miał coś z wyglądu młodego satyra.

— Zycie jest pełne kompensacji — powiedział.

Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy Hiszpanka nie pierwszej już młodości, lecz wciąż urzekająco kusząca i piękna, pojawiła się w drzwiach. Odezwała się doń po hiszpańsku i nie mogłem nie zauważyć, że była panią tego domu.

Gdy wyprowadzając mnie stał w drzwiach, rzekł:

— Kiedy widzieliśmy się ostatni raz powiedział pan, że jeśli tu przyjadę, zarobię zaledwie tyle, by utrzymać ciało i ducha razem. Ale że będzie to wspaniałe życie. Chcę więc panu powiedzieć, że miał pan rację. Byłem ubogi i zawsze już ubogim pozostanę, lecz jestem szczęśliwy. Nie zamienilibym postadzanego życia z żadnym królem na świecie.

Tłum. z ang. L. U.



„Frank Sinatra wystąpił w filmie „Von Rian's Express” — o ucieczce więźniów angielskich i amerykańskich z obozu koncentracyjnego w Pescara we Włoszech...
☆

Jacques Charrier ma dużo roboty. W tych dniach rozpoczyna zdjęcia do filmu „Kwiaty Księżycy” („Fleur de Lune”) pod kierownictwem Christiana Marquanda. Będzie w tym filmie ojcem trojga dzieci, a Jego ciche i spokojne szczęście rodzinne zakłóci przybycie pięknej pani z Indochin. W teatrze jednocześnie gra Romea w „Romeo i Julia”, Julia jest Catherine Deneuve.
☆

Wszystko na to wskazuje, że także i Liz Taylor zostanie zaniektowana przez teat. Podobno ma grać rolę Heleny trojańskiej w „Doktorze Faustie”. Dodac należy, że rolę Fausta ma grać Richard Burton.
☆

Wielbiciele Jean Marais dostaną w niedługim czasie porcję zupełnie świeżych wrzrów. Ten miły, starszy pan zgodził się grać rolę tajnego agenta w szpiegowskim filmie „Pełny ogień na Stanisławie” („Plein Feux sur Stanislas”). W tym celu będzie musiał solidnie potrenować przed rozpoczęciem pracy, ponieważ scenariusz przewiduje wiele bójek, niebezpiecznych upadków i skoków, szalonych pogoni itd.
☆

Philippe de Broca („Dowcipniści”, „Igraszki miłości”) pracuje nad swoim nowym filmem „Pan z prowincji” w atmosferze całkowitej beztroski i wesołości. Można było oglądać ostatnio jak Jean-Pierre Cassel i Dallo bardzo przekonująco walczyli przy użyciu tortów i ciastek z kremem.
☆

Miłość odchodzi, konsekwencje pozostają. Sami Frey, eks-naręczony Brigitte Bardot został skazany ostatnio we Włoszech na pół roku więzienia, za to że w obronie B. B. zbil pewnego dziennikarza włoskiego. Było to rok temu, podczas pracy nad filmem „Pogarda”. A obecnie musi wpłacić wysoką kaucję za każdym swoim nowym powojem na ziemi włoskiej.
☆

W Stanach Zjednoczonych trwa podniecenie. Liga Starych Panien z miasta Memphis uznała Steve Macqueen (jeden z „Siedmiu Wspianych”) za najbardziej pocągającego mężczyznę Stanów Zjednoczonych. W szeregach „nastolatków” za wrzalo. Na ulice Memphis wyszły grupy młodocianych demonstrantek z portretami Elvisy Presleya.
☆

Audrey Hepburn zadziwia dziennikarski światek ilością piwa. „Pięć, jak stać Bawar”, wyjaśnia wszystkim zainteresowanym Audrey, „ponieważ muszę odzyskać wagę. Strasznie schudłam w czasie realizacji „My fair Lady”.
☆

Oto jak Jean Renoir ocenia swoich kolegów, realizatorów filmowych: „Większość z nich nie zajmuje się sprawami ludzkimi; oni interesują się tylko trickami, ruchami kamery, oświetleniem, efektami. To jest dekadencja, ale jednocześnie jest to zjawisko normalne: kiedy imperium rzymskie zaczęło kłonić się ku upadkowi, lud rzymski także interesował się wyłącznie cyrklem...”
☆

SPEKTAKLE tygodnia

FILM		
POLONIA — „Prawo i pięść”	35 seansów	10.200 widzów
WŁOKNIARZ — „Słodkie życie”	28 seansów	8.600 „
TEATR		
NOWY — „Marie Octobre”	1 spektakl	600 — 90%
— „Włosek i Wacek”	2 spektakle	1.000 — 70%
— „Wybór”	3 spektakle	1.200 — 55%
NOWY (Mała Sala) — „Garcie piasku”	2 spektakle	200 — 50%
— „Całe życie”	2 spektakle	200 — 50%
JARACZA — „Wyzwolenie”	3 spektakle	2.000 — 89%
POWSZECHNY — „Piosenka prawdę ci powie”	4 spektakle	2.657 — 90%
— „Romeo i Julia”	1 spektakl	620 — 93%
7,15 — „Porwanie Sabinek”	4 spektakle	1.235 — 70%
— „Gość z kosmosu”	1 spektakl	401 — 91%

Lewym okiem



PO GODZINACH

Każdą rzecz i każde zjawisko można pseudonimować, i to nie tylko w poezji. Na każde pytanie można dać sto prawdziwych odpowiedzi. Na pytanie męża: co dziś na kolację? odpowiada kochana żonczeczka: jajko na szynce, bułka z masłem, herbata. Albo odpowiada: białka, tłuszcz, węglowodany i skrobia. I to i to jest prawdą; nawet tą samą prawdą, więc co nas właściwie śmieszy w drugiej żonczynie odpowiedzi?

Dlaczego nie lubimy napisu na skrzyżnię czyścibuta: „tu pełni się usługi dla ludności”? Dlaczego fryzjer nie może wywoleć anonsu: „oddziałanie włosów ludzkich od ich naturalnego podłoża, a taksówka nie nazywa się „ruchomy zakład przemieszczania osób w przestrzeni”?

Zmieniamy nazwy, mnożymy pseudonimy, bo nudno. Przez wieki określanie tym samym słowem tej samej rzeczy; dochodzimy do zbyt poufatego obcowania ze światem. Za dobrze wiemy, co znaczy dane słowo, jakim odpowiada treściom. Natomiast nikt nam Konstytucję nie gwarantował, że zakład pełniący usługi szklarskie dla ludności; to jest to samo, co szklarz.

Szklarz przychodził do domu i na miejsce wybitej szyby ustawiał nową. Zakład nie może przyjść, zakład jest instytucją z głównym księgowym i radą zakładową. Trzeba wyjść z ram okna i zanieść, zadzwonić w pocie czoła, żeby instytucja ewentualnie ustanowiła tę szybkę. Może się okazać, że po obejrzeniu defektu czegoś tam zabraknie i idzie się z oknem dalej. Sam obzedłem kiedyś z wielkim, nowoczesnym portefenetre na plecach połowę miasta, zanim wreszcie spełniono mi szklarską usługę.

Pracnia spełniła usługę, jeżeli się odpruje wszystkie guziki i klamerki. Ta sama pracnia nie przyjmie bluzki z odprutym kołnierzykiem. — Skąd mam teraz wiedzieć, gdzie i jak ten kołnierzyk był przyszyty? — urządził pani pełniąca usługi dla ludności. Zepsutej sprężyny w tapczanie nie naprawi nikt. Taki detal? Może gdyby

wziąć tapczan pod pachę i pokolewować, to gdzie tam by przyjął, najwyżej z małym dodatkowym warunkiem: że klient sam uprzednio zdejmie wierzch, odpruje pokrycie, rozkręci śruby, kupi nową sprężynę, założy, przykręci i zapłaci.

W niektórych punktach (żeby gwoli statystyce nie powtarzać już słowa „zakład”) osuszem podnieście ten i ów głowę na widok wchodzącego potencjalnego klienta. Jeśli siedzi ich w punkcie dwóch lub trzech, zaraz zostanie jeden. Żeby było dyskretnie. Wszystko może zrobić, ale po godzinach. Oczywiście, jeżeli pan chce, żeby było zrobione jak się należy, i bez rachunku. Zgodzimy się.

Jaś się już zgodzimy; to rzecz zostanie zrobiona właśnie w godzinach, tyle że rachunku na prawdę nie będzie. Spółdzielnia wykaże deficyt, w którym podział dochodu narodowego ulegnie niejakiemu zwężeniu w stosunku do zaplanowanych limitów. Inaczej mówiąc: zarobi nie ten, którego miano na myśl. Ale usługa będzie wykonana, a o to koniec końców chodzi nam najbardziej, mimo różnych tamańców językowych.

CWIEK

Komitet redakcyjny: Halina Bekowa, Wacław Billiński (red. naczelny), Konrad Frejdlieh, Wanda Karczewska, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzisław Stokowski. Kolegium: członkowie komitetu redakcyjnego oraz Lech Budrecki, Zbigniew Faliński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska. — Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 88. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamawia rekonesansów nie swraes. — Prenumerata przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Ilistonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odcioły”. Druk: RSW „Prasa” — Łódź. Zwirki 17. Zam. 3082. X. 64. F-13.